MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 18. WARSZAWA, 16 KWIETNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

REAKCJA USTROJOWA KIERUNKU NARODOWEGO

REAKCJA przeciw państwu policyjnemu może wyrazić się w powrocie do skrajnego liberalizmu, w rozprzężeniu życia społecznego, a nawet w anarchji. Mamy przed sobą przykład Hiszpanji, gdzie po upadku dyktatury wojskowej nastąpiła rewolucja społeczna w myśl starych haseł z XVIII wieku, ze wszystkiemi jej ujemnemi konsekwencjami. To, co Francja, a z nią inne narody przeżywały sto lat temu, Hiszpanja zdaje się przeżywać dzisiaj, upajając się hasłami wolności, równości i braterstwa, które gdzieindziej wrażenia już nie czynią.

Hiszpanja jest jednak krajem zapóźnionym. Wydaje się rzeczą niemożliwą, aby narody, które przeżyły już wiek demokracji, powracały do niej bez zastrzeżeń, jak gdyby nic nie zaszło. Okres absolutyzmu państwowego, okres państwa policyjnego jest niewątpliwie etapem ku nowemu systemowi politycznemu, który doskonalej wyrazi nowe, gromadzące się poglądy społeczno-polityczne, nowe rodzące się potrzeby, który będzie istotną manifestacją reakcji przeciw okresowi fałszywego indywidualizmu.

W chwili obecnej objawem najistotniejszym nie jest tylko omnipotencja państwa, ujarzmiającego całe społeczeństwo.

Reakcja przeciw omnipotencji państwa, wyrażająca się w obronie indywidualizmu, nie byłaby reakcją właściwą i istotną. W poprzednich rozważaniach[1]) staraliśmy się dowieść, że dzisiejszy etatyzm, dzisiejszy absolutyzm wypływa logicznie z ogólnych prądów ideowych, jakie zrodził wiek XVIII, a które zapanowały w wieku XIX. Jest dalszem, zapewne ostatniem, dzieckiem głoszonego szumnie indywidualizmu, który w praktyce doprowadził do degradacji człowieka, do pozbawienia go własnej osobowości przez wyrwanie go ze środowiska, które daje mu naturalne oparcie. Absolutyzm państwa współczesnego mógł wyrość tylko na rozbiciu i rozproszkowaniu społeczeństwa.

Istotna reakcja przeciw absolutyzmowi współczesnego państwa nie powinna polegać na ślepem dążeniu do jego osłabienia, do nowego jakiegoś, fikcyjnego wyzwolenia człowieka. Przybierze ona zapewne kształty bardziej realne i nowoczesne, zaspokoi te braki w strukturze społecznej, jakie dają się odczuwać nie od dziś, ale od kilku już wieków.

Jeżeli zanosi się na upadek, to tylko na upadek państwa-molocha, państwa, traktowanego jako mechanizm, jako system biurokratyczno-policyjny, państwa, prowadzącego „planową“ gospodarkę, regulującego całe życie społeczne. Nad takiem pojęciem państwa będzie musiało zatrjumfować państwo, traktowane jako organizm, wiążące w sposób hierarchiczny żywe i zorganizowane siły społeczne i narodowe, lecz pozostawiające tym siłom pełną niezależność w zakresie wykonywania ich własnych zadań.

Niewątpliwie będzie to prowadziło do ograniczenia kompetencji państwa. Ale ograniczenie to będzie zupełnie naturalne. W cytowanem przez nas poprzednio dziele, profesor de la Bigne de Villeneuve, którego poglądy zachęciły nas do skreślenia tych uwag, zwalcza stanowczo, jak już wspomnieliśmy, poglądy szkoły niemieckiej, przesiąkniętej Heglem, o nieograniczonej władzy państwa.

Twierdzi, że państwo nie jest jedynem zrzeszeniem ludzkiem. Istnieją jeszcze inne organizacje społeczne o odmiennych celach. P. de la Bigne przyznaje państwu pełną swobodę w osiąganiu swoich politycznych celów, ale z drugiej strony

[1]) Por. art. „Absolutyzm a indywidualizm“ — „Myśl Narodowa“ nr. 10 z 10 lutego b. r. oraz art. „Państwo absolutystyczne i jego zwyrodnienie“ — „Myśl Narodowa“ nr. 13 z 12 marca b. r.

uważa za wskazane udzielić podobnej swobody innym formacjom społecznym, o ile cel ich, zgodnie z prawami naturalnemi, nie jest wymierzony przeciw państwu jako takiemu.

Idąc po linji, zaznaczonej już przez Duguita, p. de la Bigne szeroko uwzględnia w swojej teorji zrzeszenia. Uważa je za naturalny i logiczny wyraz życia społecznego. Sympatje jego dla wieków średnich są też dlatego bardzo silne. Uważa ten okres za erę wyzwolenia człowieka z pod nieograniczonej i arbitralnej władzy państwa starożytnego. Wskazuje tu na wielkie zasługi Kościoła, który przez usta św. Tomasza z Akwinu wprowadził pojęcie sprawiedliwości i słuszności do metod politycznych. Wieki średnie, powiada to okres „wyższej harmonji", społecznej, to okres podporządkowania państwa prawu naturalnemu. Dążą one do klasyfikacji życia społecznego, ale jednocześnie zmierzają do jednolitej harmonji, w której umieszczają i szeregują na zasadach hierarchji jedności częściowe wraz z człowiekiem, jako ostatnim w tej serji".

„Tak, jak te inne zrzeszenia społeczne"—pisze p. de la Bigne — „nie powinny być uprawnione do mieszania się do dziedziny, zastrzeżonej dla władzy państwowej, tak również władza państwowa nie powinna pod żadnym pretekstem usiłować zagarnąć, lub arbitralnie przeszkadzać w wykonywaniu funkcyj, które należą do poszczególnych zrzeszeń".

Tutaj na naczelnem miejscu stawia autor rodzinę, „niezastąpioną komórkę społeczeństwa". Próby odebrania przez państwo ojcu rodziny jego rodzinnych zadań wychowawczych nazywa autor „zbrodniczemi i niszczącemi porządek publiczny". P. de la Bigne przypomina zresztą, że w razie braku władzy państwowej funkcje polityczne spadają na rodzinę, a właściwie na związek rodzin, tworzący naród. Podobnemi zrzeszeniami, ograniczającemi władzę państwową, są różne zrzeszenia zawodowe (cechy) jako naturalny wyraz życia społecznego, oraz zrzeszenia terytorjalne (samorządy), które, zdaniem autora, mimo dzisiejszych teoryj centralistycznych, zachowały nieraz ślady pełnej, dawnej udzielności. Jest rzeczą znamienną, że państwo policyjne, rozprawiwszy się z parlamentaryzmem, uderza z kolei w zrzeszenia, stowarzyszenia, samorządy naukowe i tererytorjalne i wtedy dopiero wchodzi na drogę niebezpieczną.

Istnieją wreszcie kompetencje człowieka jako takiego, ale człowieka nie odosobnionego, tylko wspierającego i nawzajem opierającego się na całym systemie społecznym. Człowieka jako istoty uduchowionej i nieśmiertelnej, którego chrześcijaństwo wyzwoliło z pod arbitralnej i despotycznej władzy państwa.

Fakt, że władza państwowa odnosi się do ludzi, którzy są istotami moralnemi, ogranicza ją bardzo silnie. Nakłada bowiem na nią obowiązek przestrzegania tych samych zasad moralnych i naturalnych, któremi kieruje się człowiek. „Państwo nie jest władne, jak żadna inna ludzka potęga, zmienić wyższych reguł prawa, lub zasad sprawiedliwości i niesprawiedliwości, które są tem, czem są, gdyż natura ludzka jest tem, czem jest".

W poglądach na teorje o państwie często spotykamy się ze zdaniem, że o wszystkiem w tej dyscyplinie wiedzy stanowi stosunek człowieka do państwa, że wszystko opiera się na stopniu podporządkowania człowieka ogółowi. Przeciwstawiając człowieka społeczeństwu, dowodząc, że jego prawa i interesy są sprzeczne z prawami i interesami narodu, budowano systemy polityczne, przyczem jedni wysuwali na czoło jednostkę, inni ogół. I dzisiaj patrzy się na kryzys państwowy z tego tylko punktu widzenia. Dziś na górze jest państwo. Jutro w drodze reakcji ma być jednostka.

Lecz ten punkt widzenia już się przeżył. Jest refleksem dawnych i zakończonych już walk z absolutyzmem państwowym z przed półtora wieku. Ówczesny okres rewolucyjny prowadził do skrajnego przeciwstawienia tych dwóch wartości: jednostka — ogół. Dziś przeciwstawienie takie, pod wpływem kierunków narodowych, wydaje się anachronizmem.

Czy można w istocie tak bezwzględnie przeciwstawiać człowieka — ogółowi? Czy można sobie wyobrazić człowieka bez społeczeństwa, i społeczeństwo bez ludzi? I dlatego, czy istnienie człowieka może prowadzić do zniszczenia środowiska, w którem żyje, a znowu istnienie środowiska musi koniecznie niszczyć człowieka? Z punktu widzenia doczesnego, człowiek istnieje dla społeczeństwa, a społeczeństwo dla człowieka.

Oczywiście w danej chwili i w danym przypadku człowiek może mieć i ma swoje egoistyczne cele, również państwo może nie uwzględniać jego interesów. Ale na płaszczyźnie szerszej, narodowej, patrząc na całość tych sprzecznych napozór interesów, trudno nie dojrzeć solidarności, łączącej człowieka z narodem. Zadaniem prawa jest jedynie uregulowanie sprawiedliwego podziału wzajemnych praw, obowiązków i kompetencyj.

Całe zagadnienie współczesne streszcza się zatem w tem, by na nowo w myśl nowych założeń rozłożyć nowe prawa, obowiązki i kompetencje, by w tem zorganizowanem społeczeństwie znaleźć właściwe miejsce dla człowieka. Stanie się to nie przez przeciwstawienia człowieka państwu, lecz przez ścisłe sharmonizowanie tych dwóch czynników. I tu rola kierunku narodowego jest zupełnie wyraźna. Tylko bowiem w oparciu o nowoczesny kierunek narodowy, który jest reakcją zarówno przeciw indywidualizmowi, jak i absolutyzmowi, znaleźć możemy odpowiedź na powyższe pytania.

Zasadniczym celem kierunku narodowego jest utrzymanie więzi i spoistości narodowej. Kierunek narodowy zwalcza przedewszystkiem wszelki rozkład: rozkład państwowy, jak i społeczny, rozkład materjalny, jak i moralny. Kierunek narodowy nie zmierza do osłabienia państwa i jego budowy. Nie walczy z ideą silnej władzy państwowej. Przeciwnie, mocna konstrukcja państwa jest jego celem. Chodzi mu jednak o siłę istotną i trwałą, a nie przemijającą. Siła państwa musi wyrażać się nietylko w sile rządu, ale w sile całego organizmu państwowego i narodowego. W silnem państwie żaden organ nie powinien cierpieć na uwiąd. Cały organizm musi być zdrowy.

Do istoty kierunku narodowego należy budowanie tej siły od dołu, a nie tylko od góry. Przez mocne zorganizowanie komórek życia społecznego—rodziny, zrzeszeń, samorządu—do silnego państwa. Jakże często historja dowiodła, że gdy te podstawy są silne, zawierucha na górze, we władzach centralnych, nie jest tak groźna dla bytu państwa, jak wówczas, gdy wszystkie prawa i cała odpowiedzialność skoncentrowana jest w jednem miejscu, lub w jednych rękach. W czasach, gdy państwo nie może wyjść ze stanu kryzysu, gdy pań-

stwu policyjnemu może grozić reakcja niebezpieczna i szkodliwa, hasło „zorganizowanego narodu“ ma swój głębszy sens i swoje aktualne uzasadnienie. Hasło to głosi właśnie kierunek narodowy. Tradycja jego pracy społecznej, jego przeszłość demokratyczna, uzyskiwanie przez niego coraz większego oddźwięku w społeczeństwie, predestynują go do odegrania roli decydującej przy ostatecznem rozwiązywaniu kryzysu państwowego.

Przykłady są nieraz ułomne i należy je czynić z dalekiemi zastrzeżeniami. Ale ostatnie wypadki w Niemczech wykazały, że koncepcja rządów gen. Schleichera, szukającego autorytetu wyłącznie w sile mechanizmu państwowego, opierającego się na armji, policji i biurokracji, nie dała się utrzymać. Musiano odwołać się i szukać poparcia w masach. Odwołano się do zorganizowanych mas nacjonalistycznych, które wciągnięto do machiny państwowej. Siła państwa na tem nie ucierpiała, przeciwnie, znalazła podstawy szerokie i głębokie.

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

PRZYCZYNY ANTYSEMITYZMU W NIEMCZECH

ZORGANIZOWANA akcja antyżydowska w Niemczech, podjęta i przeprowadzana na wielką skalę, jak też i antysemickie wystąpienia szerokich sfer ludności niemieckiej mają jakieś przyczyny, które należy poznać. Zorjentowanie się, bodaj w szkicowo narzuconym obrazie stosunków, które doprowadziły w Niemczech do walki z Żydami, prowadzonej tak energicznie, i zdecydowanie, pozwoli nam zdać sobie sprawę z charakteru tego ruchu, tej wojny antysemickiej. Rzuci to także conieco światła na te możliwości, które mogą wyniknąć ze stosunków u nas panujących. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że ruchy antyżydowskie powstawały i powstają wtenczas, jeśli Żydzi w obcem sobie społeczeństwie zdobywają jakąś przewagę: populacyjną, pieniężną, polityczną i t. p. Tam, gdzie byli drzazgą w żywem a obcem ciele, zawsze powstawało ropienie i starano się tę drzazgę usunąć. Żydzi tworzą społeczność ekskluzywną i dla otoczenia przykrą, a gdy współżycie staje się po pewnym czasie nie do zniesienia, sprowadzają na swe głowy kłopoty, często pogromy, nawet kataklizmy. Tadeusz Zieliński, wybitny znawca judaizmu, notuje, że Żydzi już w starożytności wymagali dla siebie praw coraz większych, a zarazem, o ile można, uchylali się od pełnienia obowiązków obywatelskich, zaś co ważniejsze, nie poprzestawali ani na równouprawnieniu, ani na przywilejach i żądali coraz więcej: „skoro dla nas stworzyłeś ten świat, dlaczego go nie posiadamy?“ (Ezdrasz, IV). Otóż to!

Żydostwo istnieje, jako fakt i siła. A ponieważ nie jest zlokalizowane terytorjalnie, więc antysemityzm jest powszechny. Nikt nie zgodzi się na ropienie z powodu drzazgi. Każdy człowiek rozsądny wyjmuje drzazgę. Gdy drzazga w ranie palestyńskiej była niewielka, stan był znośny, skoro weszła w ciało drzazga duża, Arabowie zaczęli urządzać pogromy Żydów. Wyobraźmy sobie, coby się działo w Japonji, gdyby liczba Żydów podniosła sie tam do 10%, albo gdyby zdobyli takie wpływy, jak w Polsce lub w Niemczech. Właśnie w Niemczech te wpływy żydowskie wzrastały coraz bardziej i to w stosunku rażąco nieproporcjonalnym do liczby ludności.

CESARSTWO

Zaczęło się przenikanie Żydów bodaj od Fryderyka Wielkiego, który posługiwał się Żydem Efraimem dla fałszowania monety; zarzucał i Polskę temi fałszywemi pieniędzmi. Wilhelm II był z Żydami ze świata wielkiej finansjery i wielkiego przemysłu na stopie dużej zażyłości. Z mieszkaniem Rathenau'a miał Wilhelm II specjalne połączenie telefoniczne. Do najbliższego otoczenia cesarza należeli bankierzy żydowscy, podróże swoje odbywał Wilhelm często w otoczeniu Żydów, cesarski autoklub był zażydzony. W konsekwencji takiego stanu rzeczy nastąpiły różne nobilitacje bogatych Żydów, a nawet dzięki cesarzowi został ministrem Hirsz Dernburg, wnuk talmudysty. Powiernikami Wilhelma II byli: Rathenau, Ballin, Koppell, Simon i ich towarzysze. Podczas wojny światowej Żydzi nie odstępowali cesarza i w kwaterze głównej.

WOJNA ŚWIATOWA

Wojenny system gospodarczy zaincjonował Żyd, Rathenau, członek 39 rad nadzorczych. Kierownikiem życia gospodarczego, zwłaszcza w zakresie cen, był Żyd, radca Lewald. A jakie ma znaczenie obsadzenie ważniejszych urzędów przez Żydów, najdobitniej świadczy fakt, że gdy podczas wojny jakaś większa formacja wojskowa zażądała dla żołnierzy dwu tysięcy centnarów czekolady, to zamówienie otrzymał nie fabrykant czekolady, tylko.... fabrykant bluzek, ale Żyd. Rada nadzorcza wojenna towarzystwa metalurgicznego, składająca się z czernastu członków, liczyła tylko dwu aryjczyków. W okręgowej komendzie V, załatwiającej personalja generałów, ważną osobą był radca Landau. Kierownikem spraw paszportowych w oddziale wschodnim był major Herrmann, syn spekulanta giełdowego. Na wybitnym stanowisku w generał-gubernatorstwie w Brukseli działał dr. C. Simon z „*Frankfurter Zeitung*“, w Warszawie zaś inny Żyd — Cleinow. Towarzystwo pożyczek wojennych obsadzono Żydami, także i komisję walutową. Wogóle kierownictwa ważnych urzędów gospodarczych były często obsadzane przez Żydów.

RZĄD

Rewolucja niemiecka a później wpływ socjalnej demokracji i niezależnych spowodowały wysadzenie Żydów na fotele ministerjalne. Prezydentem ministrów pruskich został Żyd Hirsch, który dobrał sobie w gabinecie kompatrjotów: Rosenfelda, Cohena i Simona. Po rewolucji ministrami skarbu Rzeszy byli kolejno Żydzi Schiffer, Dernburg, Gothein. Na czele rewolucyjnego gabinetu w katolickiej Bawarji stanął Kurt Eisner, Żyd. Premjerem gabinetu w Saksonji został Żyd: Gradnauer. Jednym z podsekretarzy stanu został Żyd czeski, K. Kautsky, który się nawet nie postarał o obywatelstwo niemieckie.

W ministerjum spraw zagranicznych utworzono po rewolucji specjalny wydział spraw żydow-

skich, którego kierownictwo powierzono prof. Sobernheimowi, zajmującemu liczne i wybitne stanowiska w instytucjach żydowskich; Żydzi ulokowali się w ministerjum wojny, każdy wydział miał specjalnego pełnomocnika żydowskiego, tak zw. „jaczejkę“. W urzędach zwrócono szczególną uwagę na posterunki, mające kontakt z prasą. W delegacji pokojowej niemieckiej było sporo Żydów, tak zw. rzeczoznawców, z bankierem Warburgiem na czele. Po zakończeniu wojny różne wysokie urzędy, zwłaszcza związane z polityką zagraniczną, wewnętrzną, skarbową i handlową, przemysłową obsadzono Żydami. Nie zapomniano o różnych posterunkach w policji, i to nietylko w Berlinie, ale i w rozmaitych miastach prowincji.

SAMORZĄDY

Partje socjalistyczna i komunistyczna, zdobywając wpływy polityczne, wywierały coraz większy nacisk na samorządy, które konsekwentnie opanowywały. A że kierownictwo tych partyj pozostało w rękach Żydów, przeto ci zaczęli wywierać wpływ coraz bardziej decydujący na sprawy municypalne, którym podlegają najprzeróżniejsze dziedziny życia, np. szkolnictwo, również gęsto obsadzone przez Żydów, jak widać z depesz, nadchodzących z Niemiec tudzież z prasy niemieckiej. Niektóre wydziały były całkowicie obsadzone przez Żydów, tak jak u nas w Grodnie — cały magistrat. Żydzi byli między innemi uprzywilejowani w rzeźniach, otrzymują bowiem lepsze gatunki mięsa. Niejednokrotnie w tej sprawie interpelowano w radach miejskich, nawet z łona cechu rzeźników.

FINANSE I ŻYCIE GOSPODARCZE

W finansjerze niemieckiej Żydzi grali rolę niezmiernie wybitną, jeśli nie przemożną. Wystarczy wspomnieć nazwiska Bleichoroederów, Gwinnerów i Warburgów, którzy mieli wielkie znaczenie na dworze Wilhelma II. Trzej bracia Warburgowie: Max, Feliks i Paweł wywierali wielki wpływ na wypadki w Niemczech. Przed wojną Max Warburg był *magna pars*: właściciel większości akcyj linji okrętowej Hamburg-Ameryka i Lloydu niemieckiego, był zarazem w Hamburgu przedstawicielem Rotszylda i reprezentował w Niemczech interesy żydowskiego banku Kuhn, Loeb i Sp. w Nowym Yorku. W czasie wojny Warburg konferował nieraz z Trockim w Stockholmie. Feliks Warburg jest ożeniony z córką Schiffa, żyda frankfurckiego, wspólnika banku żydowskiego Kuhn, Loeb i Sp. w Ameryce. Paweł Warburg był znów cichym wspólnikiem tegoż banku i ożeniony był z panną Loeb, szwagierką Schiffa. Paweł pozostawał w wielkiej przyjaźni z zięciem przez Wilsona, ministrem skarbu p. Mac Adoo, który ze swej strony był osobiście zainteresowany w różnych przedsiębiorstwach budowy kolei prowadzonych przez bank Kuhna i Loeba. Dzięki takim koneksjom familijno-przyjacielsko-finasowym Paweł Warburg, który przyjął obywatelstwo amerykańskie, był przez prez. Wilsona powołany do *Federal Reserve Board*, naczelnej amerykańskiej instytucji skarbowo-walutowej. Podczas wojny światowej bracia utrzymywali z sobą kontakt, a Paweł z ramienia Schiffa został wydelegowany do organizacji pomocy biednym Żydom w Rosji i Polsce. Za kulisami Warburgowie byli niezmiernie czynni w celu doprowadzenia do pokoju z Rosją, i tu szli na rękę Niemcom. Byli czynni także i w reżyserji początku rewolucji bolszewickiej. Pamiętać trzeba, że Kiereńskij (Korn), który utorował drogę bolszewizmowi trocko-leninoskiemu, jest z pochodzenia Żydem. Bankier Schiff, główny akcjonarjusz banku Kuhn i Loeb, najpotężniejszego banku żydowskiego w Ameryce, współdziającego i popierającego Harrimana w niejednej imprezie, dawno zaprzysiągł zagładę Rosji. On to udzielił pomocy finansowej Japonji w czasie jej wojny z Rosją, on finasował emisarjuszów, którzy w obozach jeńców rosyjskich szczepili idee rewolucyjne, on mobilizował kampanje przeciw Rosji i zorganizował finansowo wybuch rewolucji bolszewickiej. Ale z Nowego Yorku płynęło złoto nietylko do Rosji, lecz i do Niemiec na potrzeby „spartakusowców“ i później komunistów. Warburgowie byli nie tylko związani interesami, ale i spowinowaceni z Schiffem, który stoi na czele kahału nowojorskiego, będącego ekspozyturą władzy żydowskiej na cały świat.

Max Warburg i Ballin, dwaj potentaci finansowi, ludzie o niezmiernych wpływach politycznych, panowali nad rynkiem niemieckim już przed wojną. Ballin był dyrektorem *Hamburg-Amerika Linie.* Inny Żyd, Walther Rathenau, założyciel słynnej kompanji elektryfikacyjnej AEG i członek jej rady nadzorczej, był zarazem członkiem w 39 radach nadzorczych rozmaitych wielkich przedsiębiorstw. Dyrektorem naczelnym AEG jest Deutsch, także Żyd, jego szwagrem jest właśnie Otto Kahn, jeden z głównych wspólników z banku Kuhn, Loeb i S-ka.

W *Deutsche Bank*, największym banku niemieckim, którego wpływ w Niemczech jest równy wpływowi np. Morgana w Ameryce, usadowili się też Żydzi o koneksjach międzynarodowych, przedewszystkiem z Banku Lazar-Speyer we Frankfurcie, który jest skoligacony z bankiem Speyera w Londynie i Nowym Yorku. Warburgi, Speyery, Bleichroedery, Rotszyldy, to są olbrzymy bankowe, poza tem Berlin miał około trzystu banków i większych kantorów wymiany; pozostających w rękach żydowskich. Hamburg miał około czterdziestu, Hanower około trzydziestu banków żydowskich, Norymberga — dwadzieścia pięć, Monachjum — dwadzieścia i t. d. Żydzi byli głównymi promotorami t. zw. koncernów bankowych w Niemczech. Potęga gospodarcza i polityczna Żydów niemieckich była doniedawna wielka. Werner Sombart, który napisał słynne dzieło o stosunku Żydów do życia gospodarczego, powiada o Żydach niemieckich: „Dziś wiemy, że czwartą część wszystkich członków rad nadzorczych w niemieckich towarzystwach akcyjnych i przeszło ósmą wszystkich dyrektorów stanowią Żydzi; wiemy, że wszędzie, gdzie można przeprowadzić porównania, stosunek jest taki, że Żydzi są trzy i czterokrotnie bogatsi od chrześcijan, ale suma podatków od nich wpływających w tych miastach, gdzie grają wybitną rolę, wynosi zaledwie ćwierć, najwyżej trzecią część wszystkich wpływów“. Handel eksportowy niemiecki znajduje się prawie wyłącznie, bo w 85% w rękach pośredników żydowskich. Śmietanka w życiu gospodarczem przypadała w udziale w znacznej części Żydom, z pokrzywdzeniem zwłaszcza niemieckich warstw średnich.

(D. c. n.) MICHAŁ WIŚNIEWSKI

WIELKANOC W DAWNYM KRAKOWIE

(Z CYKLU „KRAKÓW PRZED 30 LATY“)

JEŻELI w salonie państwa Dunajewskich[1]) koncentrował się duch, duch coprawda starej Austrji czy austro-polski, z niewątpliwemi jego zaletami i pewnemi, niezbyt zresztą rażącemi, śmiesznostkami, to salon pana Karola Raczyńskiego, świeżo osiadłego w Krakowie, był — rzec można — poświęcony bez reszty rozkoszom cielesnym. Ten Raczyński, syn Atanazego, posła pruskiego w Portugalji, znanego kolekcjonera i wielkiego dziwaka, żonatego z Niemką, jeżeli się nie mylę, Oettingen-Wallerstein, owdowiawszy, opuścił swoją willę w Bregencji i na schyłek życia przeniósł się do Krakowa, gdzie czujną nad nim roztoczyli opiekę bratankowie i spadkobiercy, państwo Edwardowie Raczyńscy. Pan Karol był smakoszem i żarłokiem, obiady u niego nosiły charakter obrządku; pamiętam jeden z nich, na którym byłem, podczas którego podawano dwie zupy, w środku ukazywała się najwymyślniejsza a niespodziewana potrawa — wszystko podlane stupięćdziesięcioletnim węgrzynem. Oryginalną nutę wnosił do zespołu biesiadnego trącący myszką dwór rezydentów, z Holendrem Kjersjesem, umocowanym specjalnie do grania w szachy, ubogą kuzynką domu, panną Radolińską, piastującą resort gry na fortepianie i typowym wyjadaczem Burzyńskim, znanym z portretu Pochwalskiego, który co pewien czas oblizywał się, mlaskał i przy przedniejszej potrawie wykrzykiwał: „Panie hrabio! Niebo w gębie!“

Święcone — inne misterjum jadła (zdaje się, pierwszy mój ojciec zauważył był w satyrycznych swoich „Siedmiu grzechach głównych stołecznego miasta Krakowa“, drukowanych w „Czasie“, jak dalece słowo obiad odpowiada kulinarnej psychologji Słowian) — gromadziły Krakowian u Potockich pod Baranami, u kardynała Puzyny, później zaś u delegata Fedorowicza, nie mówiąc o doraźnych fetach, jak np. u Wysockich w dawnym pałacu Wodzickich i u Ledóchowskich na Puszetówce.

Pamiętam zwłaszcza jedno święcone „pod Baranami“, odbywające się, jeżeli się nie mylę, w pierwsze święto wielkanocne roku 1900, na którem przyjmowali gości: stara pani Adamowa Potocka, dama o surowym wyrazie twarzy, wysłuchująca świątecznych życzeń gości przez zastosowaną do jej głuchoty trąbę mechaniczną, syn jej, późniejszy marszałek i namiestnik Andrzej, z żoną, zawsze piękną, choć obarczoną nie wiem już którem macierzyństwem, panią Krystyną z Tyszkiewiczów, a wreszcie cztery córki.

Szlachecki „lej rozlej“ był udziałem raczej słynącego z gościnności domu kardynała Puzyny, który z butelką starego miodu w ręku, a nieraz talerzem pełnym wędlin w drugiej, uwijał się energicznie pośród swoich gości i z fantazyjnym rozmachem narzucał im co lepsze kawałki na talerz, sekundowany w tej arcypasterskiej operacji przez sztab kanoników i kapelanów. Podczas gdy w pierwsze święto, pod Baranami, w pozbawionej okien, stylowej sali balowej, gdzie odbywało się owo święcone, panował mrok i pewna arystokratyczna sztywność, a młodsi chronili się z upodobaniem do pokoi odleglejszych, w których im było swobodniej, to w drugie święto, w jasnych i przestronnych komnatach pałacu biskupiego, dziwnie wesoło prezentowały się wiosenne dam toalety, tolerowane przez surowego zresztą gospodarza. Kardynał, jako pochodzący ze Lwowa, a osiadły w Krakowie, nie zacieśniał się w przyjaźniach swoich do horyzontu krakowskiego, ale przyjmował chętnie ludzi z trzech zaborów: i tak na jednem z tych „święconych“ jawiła się np., obok ekscelencyj austrjackich, wyniosła postać prezesa Koła Polskiego w Berlinie, księcia Ferdynanda Radziwiłła, a nie brakowało także z pewnością i gości z Królestwa.

Około r. 1901 otwarły się podwoje t. zw. pałacu rządowego w Krakowie, którego siedziba mieściła się była poprzednio w pałacu Spiskim i nowy delegat namiestnika, pan Adam Fedorowicz, jął tam przyjmować z zastosowaniem biurokratycznej nieco etykiety. Fedorowicze nie wywodzili się bodaj od pnia kniaziowskiego, który notują pod tem samem nazwiskiem herbarze, jeno wszystkimi fibrami — jak wiele zresztą rodzin galicyjskich — związani byli z poważnemi i mniej poważnemi stronami państwowości austrjackiej. Panu Adamowi, zacnemu wielce, ale sztywnemu, jak każdy prawdziwy urzędnik austrjacki[2]), pełnemu dla rang i hierarchij społecznych respektu, pomagała w przyjmowaniu gości powiewna, choć starsza od niego siostra, panna Lula, godna zaiste pogodnej Fredrowskiej ironji, bo tak szermowała francuszczyzną, jak niegdyś szlachcic fredrowski palił się do angielskich nawyczków, — oraz brat młodszy, Władysław, doskonały prototyp kawalera maltańskiego, a austrjackiego szambelana.

Technika święconych delegackich zawczasu zwróciła była uwagę stryja mojego Zdzisława, który, chociaż sam, jako urzędnik i biurokrata, przedziwnie znać się musiał na rangach i dostojeństwach, to jednak zachował był ten zmysł dla śmieszności etykietalnych, jaki salwuje prawdziwa tylko kultura. Otóż pokazało się, że bracia Fedorowicze ustawili byli w przedsionku oddzielającym dwa obszerne salony rodzaj luzującej się straży, złożonej z członków rodziny i zaufanych urzędników starostwa, zaopatrzonych w dodatku w co wyborowsze butelki z piwnicy delegata. Kiedy tedy pojawiali się we drzwiach wchodowych goście, dokonywała się natychmiast precyzyjniejsza od darwinowskiej czy lamarckowskiej ich selekcja: jeden ze strażników chwytał bez ceremonji niepowołanego do izby wyższej (na prawo od wejścia) radcę, inspektora czy profesora pod ramię, a, nęcąc go dzierżoną w ręku butelką odstawiał do izby niższej (na lewo), podczas gdy arystokracji i rangom wyższym otworem stał dostęp i do dostojniejszych pokoi. Czasem parszywa owieczka, podochocona może starym miodem, mimo to przedrzeć się ośmielała przez uprzejmy kordon, sprężysta jednak straż prędko z tego rodzaju intruzami robiła porządek. Cały ten proceder

[1]) Patrz „Myśl Narodowa“ nr. 26 z r. ub.

[2]) „Biedny delegat“ — żaliła się pewna „paniusia“ nad p. Fedorowiczem, kroczącym od wczesnego rana w obcisłym a pełnym złoceń mundurze szambelańskim, w upał silny, za procesją Bożego Ciała. — „Biedny delegat, od tylu godzin naczczo!“ — „Niech się pani uspokoi! — odparł złośliwie mój ojciec. — Pan Adam raz na zawsze kij połknął!“

skłonił mego stryja do oświadczenia, że odtąd będzie się, wchodząc na święcone, zwracał do gościnnego gospodarza słowami hymnu:

Inter oves locum praesta
Et ab hoedis me sequestra,
Statuens in parte dextra! [6])

Zresztą i u pana delegata atmosfera tych święconych bywała niezgorsza, chociaż nie tak swobodna, jak u księdza kardynała, mniej szlachecka i suto przemieszana elementem biurokratycznym. Wino lało się jednak obficiej i przedniej niż pod Baranami, a na gęsto zastawionych stołach niejeden znalazł się rarytet — i podczas gdy u kardynała pamiętam pewne jagnię. które stanowiło było przedmiot pożądliwości ojca Pawlickiego, to na stole delegackim świecił piór swoich dekoracją nieboszczyk-paw, w wymownych zachwalany słowach przez precjozyjną siostrę delegata.

U pani Branickiej święconych nigdy nie bywało, natomiast na Wenecji u Dębickich trafiały się one obok bali czy „kinderbali" i innego rodzaju przyjęć, jak np. w r. 1898 kolacja, na której byłem dla uczczenia pięćdziesięcioletniego jubileuszu „Czasu". Dom państwa Dębickich leżał wówczas prawie że na peryferji miasta, wśród błot, nawet jak na krakowskie stosunki, nieprzebytych (stąd zapewne jego nazwa).

Właściciel jego, pan Ludwik Dębicki, był człowiekiem kulturalnym, a przytem żywą tradycją i kroniką nietylko rodzinnego Krakowa („Trzy pokolenia"), ale i Lwowa, w którym był się wychował i, rzec można, całego niemal kraju („Portrety i sylwetki galicyjskie"). Cechował go urok szczerej szlacheckiej gościnności, a w życiu społecznem odegrał także żywą rolę, jako gorliwy katolik, potrosze neofita, bo pochodzący ze starej, arjańskiej czy kalwińskiej rodziny.

Dla kompletności w tym związku nadmienić jeszcze muszę o domu moich wujostwa Platerów (ostatnio w pałacu Wodzickich przy Świętojańskiej), skupiającym szczuplejsze zwykle grono, jako że mój wuj dotknięty był ciężką, nieuleczalną chorobą. Pogodny jednak, do ostatnich chwil, jego humor, towarzyska żyłka mojej ciotki, nie mówiąc *last not least* o doskonałej kuchni, przyciągały dość liczne osoby.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[6]) Umieść mnie w twych owiec gronie,
Niech się przeklętych uchronię,
Postaw mnie po prawej stronie!

ŚWIĘCONE ADAMA MICKIEWICZA

Paryż, 27 marca 1853 r.

DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO. Na święconem byliśmy u Mickiewiczów, gdzie się zwykle cała polska zbiera kolonja.

Rozrzewniający był widok skromnie zastawionego stołu, na którym jednak potrochu wszystko odnaleźć można było, nawet tradycjonalne prosiątko z jajkiem święconem w zębach. Poeta bowiem tak przywiązany do ojczystych zwyczajów, że wolałby tydzień cały pościć, jak nie uprzytomnić choć w części tej chwili, która mu żywiej dom rodzicielski i ukochaną Litwę przypomina.

Przed rozpoczęciem święconego poeta ze zwykłą sobie powagą wyniósł ze swego pokoju woreczek płócienny, owiązany sznurkiem, i położył na osobnym stoliku, przykrytym białym obrusem. Wszyscy zebrani goście powstali, otoczyli stół uroczyście, w rozwiązanym woreczku była ziemia polska.

Chwili tej opisać nie umiem, łzy mi płynęły jak groch, patrząc na tych ludzi, złamanych wiekiem, cierpieniami i rozmaitemi zawodami, a tak żywe zachowujących uczucia dla ukochanej Ojczyzny. Wszyscy całowali z namaszczeniem te prochy, szczere i gorące składając sobie wzajemne życzenia, aby im Bóg pozwolił doczekać, jeśli już nie jej odrodzenia, to przynajmniej możności złożenia w jej ziemi skołatanych kości swoich. Drugi takiż woreczek umieszczony jest w kościele *de l'Assomption*, obsługiwanym przez polskich Zmartwychwstańców, gdzie się zwykle w każde święto i niedzielę zbiera cała emigracja, a jeśli którego z nich żegnają na zawsze, to owej polskiej ziemi posypują na trumnę, aby biednemu tułaczowi ciężar obcej ziemi zmniejszyć.

Po śniadaniu panowie poszli do pokoju poety na fajki i cygara. Po chwili ukazał się we drzwiach mój mąż i powiedział, że jeśli chcę słyszeć mówiącego z ducha Adama, żebym stanęła nieruchomie koło portjery, a wszystko słyszeć i widzieć będę doskonale. Zająwszy tedy wskazane mi miejsce, stałam jak posąg nieruchoma, nie śmiąc odetchnąć, aby jednego nie utracić słowa.

Poeta siedział podparty, wzrok jego ginął w przestrzeni, oczy tak dziwnym świeciły blaskiem, że to, w co patrzał, zdawało się z nadziemskiego pochodzić świata. Obawa niezrozumienia tego, co usłyszę, tak mąciła moją uwagę, że z trudnością chwytałam i wiązałam dolatujące mnie wyrazy. To, co mówił, było rodzajem proroctwa i jasnowidzenia. Ucisk obecny naszego nieszczęśliwego kraju nazwał wstępem do daleko cięższych i straszniejszych prób. Mamy zapowiedziane i katorgi, i Sybir, i szubienice, i wojny domowe, powstanie zbrojne, gdzie brat przeciwko bratu walczyć będzie; aż mi włosy na głowie powstały słysząc te wszystkie obietnice, które może przeżywać będzie trzeba. Odbiorą nam wiarę i mowę ojczystą, dzieci nasze obcym językiem chwalić Pana będą; poznoszą klasztory, a tych, którzy w wierze ojców wytrwać zechcą, męczyć i katować będą.

Oprócz wroga strasznego, jak hydra siedmiogłowa, będziemy mieli drugiego, równie nam nienawistnego, który najnieprzyjaźniejszym swoim wpływem i wyjątkowemi dyplomatycznemi zdolnościami nad zgubą naszą pracować będzie.

W miarę wypowiadania tych strasznych proroctw, twarz poety przybierała wyraz nieopisanej boleści i smutku. Nagle zaczęła się rozpromieniać:

— „Na tle ciemnem, zachmurzonem, widzę malutkie światełko, jak gdyby łódkę na wzburzonem morzu; ono się zwiększa, rośnie, potężnieje, i w niedalekiej może przyszłości całym zabłyśnie blaskiem. To wskrzeszone nadzieje nasze, to wskrzeszona z grobu ojczyzna, to przyszłość nasza; my jej nie doczekamy, bo ta chwila może jeszcze daleka, ale wnukom naszym Bóg łzy i krwawe krzywdy z pewnością nagrodzi. Bracia, Matka nasza żyje, bo jest nieśmiertelną, naprózno ją wróg uciska, rozciąga na krzyżu, smaga knutami, ona nie skona, a z tych prób wyjdzie piękniejsza, światlejsza, jak gdyby złoto z próby ognistej".

Wszyscy obecni głośnym zawiedli płaczem, wzajemnie rzucając się sobie w objęcia i chórem zaintonowali „Boże coś Polskę“.

Wśród tak serdecznego nastroju p. Adam zażądał wina. Wnieśli gąsiorek cydru, i pierwszy wzniósł zdrowie wskrzesić się mającej Ojczyzny.

ZOFJA KOMIEROWSKA

Fragment powyższy dziennika Komierowskiej przenosi nas 80 lat wstecz w progi pielgrzyma, który symbolizuje szczyty mąk, jakie przebywał duch narodu podczas rozbiorów w oczekiwaniu wyzwolenia. Trudno bez wzruszenia uprzytomnić sobie ten bezmiar tęsknot, znajdujących wyraz w emigranckich obrzędach z garstką ziemi ojczystej.

Mąż Komierowskiej był towiańczykiem, to mu dawało dostęp do Mickiewicza. Przywiózłszy z kraju zaraz po ślubie młodą żonę (pannę Sobieską) otworzył szeroko dom dla towiańczyków i co znakomitszych emigrantów, pełno więc było w domu Komierowskich, ile że mieli doskonałego kucharza. Bywali tam na obiadach: Mickiewicz, Zaleski, Norwid, Mierosławski, Chodźko Leonard, Wysocki, Goszczyński, malarz Rodakowski i in.

Dziennik Komierowskiej jest bardzo interesujący nie tylko ze względu na osoby i fakty, ale także ze względu na autorkę, która z dziewczęcą trwogą i naiwnością szeroko otwartemi oczami patrzyła na wielkich ludzi i na życie emigrantów. Dziennik ten w większych urywkach drukowany był w „Przeglądzie Narodowym“ z r. 1910 (zesz. 1). — Red.

ROZMOWA KSIĘDZA Z WOJSKOWYM

Wojskowy. — Dzień dobry, księże proboszczu, jakże idzie rzemiosło? [1])

Ksiądz. — Ech, dzięki waszym zwycięstwom, mamy pokój; to jakoś nieźle.

Wojskowy. — To nie potrwa; pójdzie lepiej.

Ksiądz. — Och, zapewne, dopóki mieć będziemy ludzi walecznych ku naszej obronie i Opatrzność z nami, nie mamy się czego obawiać!

Wojskowy. — Co do Opatrzności, czy też się ona zawsze miesza do spraw naszych?

Ksiądz. — Powinienbyś coś wiedzieć o tem, panie wojskowy, ty, coś był tak daleko i wracasz z Moskwy.

Wojskowy (draśnięty). — Masz słuszność; widziałem-ci różnego rodzaju księży żonatych, pielgrzymów z Mekki, popów odszczepieńców, a wszyscy wierzą, jak i ty, księże, że tylko ci, co z nimi, zbawieni będą.

Ksiądz. — Więc to ci dowodzi, że wszystkie ludy wierzą w Boga i w nieśmiertelność duszy i że różnią się tylko sposobem, w jaki czczą Boga i zabiegają o zbawienie.

Wojskowy. — I cóż wnioskować z tego, proszę?

Ksiądz. — Sposób czci Boga i uzyskania zbawienia, stanowiący religję zewnętrzną, jest i winien być wynikiem wiary, która, jakeś to rzekł, jest powszechna. Przeto możemy mieć nadzieję uzasadnioną, że gdy ludzie nauczą się rozumować lepiej, wnioski, jakie wyciągną ze swej wspólnej zasady wiary, będą też same, albowiem jedna tylko być może prawda, to znaczy, że zewnętrzna ich cześć dla Boga, polegająca na tych wnioskach, stanie się jedną i tąż samą. Trzeba więc wnosić z twoich uwag, panie, że ludzie, mając już rozpowszechnioną wiarę zasadniczą w Boga i w nieśmiertelność duszy, przyjdą z czasem dzięki pomocy Bożej do tego, że jedną mieć będą religję zewnętrzną i jedną cześć dla Boga i że stanowić będą jeden Kościół, który wówczas będzie powszechnym rzeczywiście.

Wojskowy. — Nie pojmuję w zupełności twego rozumowania, ale dostrzegam, że chcesz dowieść, iż wszyscy wierzą w Boga i że z czasem wszyscy mieć będą jedną religję.

Ksiądz. — Ty sam dowiodłeś opowiadaniem swojem, że wszyscy, których widziałeś w różnych krajach świata, wierzą w Boga, uważając go jako nagrodcę uczynków naszych; ja zaś dowiodłem ci tylko, że, wychodząc z tej zasady powszechnej wiary, wypada koniecznie, — bo prawdziwie rozumować można tylko w jeden sposób, — dojść do jednej jedynej religji powszechnej, a którą jest, jak sądzić muszę, religja katolicka.

Wojskowy. — Nie taki to ja djabeł, jak się czarnym wydaję; a przytem lubię rozumować. Że zaś nie mam co ci odpowiedzieć w tej chwili, pozwól mi spisać dowodzenie swoje, nad którem pomyślę dziś wieczorem, a jutro pomówimy o tem.

Ksiądz. — Przystaję najchętniej. (Ksiądz wygłasza to, co powiedział, wojskowy zaś zapisuje).

Wojskowy (ukończywszy). — Otom i skończył; bardzo dziękuję. Ale dziś jeszcze mógłbym mu zrobić mały zarzut.

Ksiądz. — Wolno panu.

Wojskowy. — Przypuszczasz, że wszyscy wierzą w istnienie Boga i w nieśmiertelność duszy. Znam przecież bardzo wielu, którzy nie wierzą w to wcale.

Ksiądz. — Czy to są wojskowi?

Wojskowy. — Są jedni i drudzy.

Ksiądz. — Czy to ludzie zacni?

Wojskowy. — Zaprawdę (zastanawiając się), mniemam, że tak. Są to ludzie dzielni.

Ksiądz. — Dzielność, a zacność, to rzeczy różne.

Wojskowy. — Jakże to?

Ksiądz. — Dzielność wynaleziono, by wmówić, że się jest zacnym. A...

Wojskowy (przerywając). — Ksiądz tedy sądzi, że nie można być zacnym bez religji?

Ksiądz. — Tak, panie, sądzę, i jestem tego pewny.

Wojskowy. — Zobaczymy, jak ksiądz potrafi tego dowieść.

Ksiądz. — Nie bardzo lubię bawić się w rozumowania.

Wojskowy. — Ale ja bardzo proszę; to dla mojej nauki.

Ksiądz. — A, to co innego. Ale trzeba na chwilę wyrzec się wszystkich przesądów swojego stanu.

Wojskowy. — To przyrzekam.

Ksiądz. — Człowiek, wyrzekający się religji, a przeto świata moralnego, w którym cnota znajduje swoją nagrodę, — każda bowiem przyczyna

[1]) Rękopis przekładu, dokonanego, zapewne, przez L. Niedźwieckiego, znajduje się w zbiorach rapperswilskich pod nr. 756; w tekście przekładu poczyniliśmy nieznaczne zmiany. Djalog ten p. t. *„Une conversation entre un curé et un militaire“* podał Hoene-Wroński w wydawanem przez siebie w r. 1818—1819 piśmie perjodycznem p. t. *l'Ultra*. Artykuł ten wyszedł w przekładzie włoskim p. t. *„Dialogo fra un parocco ed un militare“*, 1868, Vincenza. W Polsce nigdzie dotychczas nie drukowany, po raz pierwszy ukazuje się na łamach „Myśli Narodowej“. (Podał do druku Paulin Chomicz)

musi mieć swój skutek, — nie może uznać innej pobudki swych czynów, jak własny zysk (*intérêt*). Szczęście więc ziemskie musi być jego prawem najwyższem. Gdziekolwiekbądź i w jakibądź sposób zdoła je zdobyć, jest w zgodzie z swojemi zasadami, ma słuszność. Co gorsza, jeżeli zasady takie uzna całkiem szczerze za prawdziwe zasady ludzkości, będzie musiał, ponieważ mu pozostaje sama li wartość rozumowa, będzie musiał, powiadam, uważać za obowiązek, za cnotę, za rzecz świętą, dopięcie swego szczęścia. Przeto, jaką drogą może dojść do szczęścia: obłudą, oszczerstwem, zdradą, kradzieżą, oszustwem, sprzeniewierzeniem, zabójstwem, podstępnym mordem i t. p., wszystko jest mu dozwolone, nakazane nawet, byleby ciosy swoje zadawał w sposób, któryby go chronił przed społecznem prawem. I pan sądzi, że w tem jest jaka zacność?

W o j s k o w y. — Ależ tego nie można dopatrzyć się.

K s i ą d z. — W takim razie prawdą jest, że wszyscy mają nieco religji, albowiem niema tu nic pośredniego: — cnota albo szczęście. Im roztropniejszy człowiek, tem lepiej czuje, że trzeba wybierać jedno z dwojga: świat przyszły, czy teraźniejszy. Przeto, wyrzekający się stanowczo religji, musi chwytać się, z równą stanowczością, szczęścia doczesnego i wszystkich przychodzących na myśl środków, mogących do niego prowadzić. Tylko zysk musi nim kierować, jeżeli nie chce się wstydzić przed sobą samym swej niekonsekwencji. Tylko głupiec lękliwy, wyzbywający się religji, nie odważa się na wszystko, co mu już wówczas wolno, na wszystko, co mu dyktuje jego zysk.

W o j s k o w y. — Ależ, bo jest zysk d o b r z e p o j ę t y, który nie pozwala nam czynić innym tego, czegobyśmy nie chcieli, by nam czyniono, albowiem społeczność i szczęście stąd płynące nie mogłyby się ostać.

K s i ą d z. — Oto jesteś chrześcijaninem mimowolnym; dowodzisz tego w dwojaki sposób: naprzód, nie chcesz uznać i odrzucasz złe zrozumienie zysku własnego, a następnie, sądzisz, że prawo Jezusa, które przytaczasz, jest nam przyrodzone.

W o j s k o w y. — Wytłumacz lepiej, proszę.

K s i ą d z. — Zysk własny, d o b r z e p o j ę t y, daleki jest od tego, czem go mianujesz, on to, przeciwnie, popycha nas, byśmy czynili innym to, czego nie chcielibyśmy, by nam czyniono. Zapytaj raczej twych ludzi odważnych, a zobaczysz, że mam słuszność.

W o j s k o w y. — A prawo Jezusa?

K s i ą d z. — Prawo to boskie, zakazujące nam, byśmy czynili to, czego nie chcemy, by nam czyniono, jest, jak widzisz, wręcz przeciwne przepisowi dobrze zrozumianego zysku własnego. Przeto prawo to moralne, niweczące zysk własny, musi wypływać z całkiem innego źródła i musi prowadzić do całkiem innego celu.

W o j s k o w y. — Mógłżebyś mi, księże, wskazać te różne cele?

K s i ą d z. — Zysk własny jest skłonnością, pociągającą nas ku szczęściu. Prawo zaś moralne jest przykrym gościńcem, wiodącym do sprawiedliwości.

W o j s k o w y. — Ależ, jak mogą być w nas dwa bodźce tak sprzeczne?

K s i ą d z. — Bośmy wolni; i stąd właśnie wypływa zacność. Kiedy, zyskiem własnym porwani, dajemy się unosić skłonności ku szczęściu, nie mamy z czego się chlubić; ale, kiedy, prowadzeni prawem moralnem, staramy się postępować drogą sprawiedliwości, wówczas uznajemy w nas Wolność, t. j. władzę duchową, wyższą nad nasze cielesne i impulsywne narzędzia. Otóż, ta władza duchowa, dusza, w której się iści sprawiedliwość, będąc wolna, zależy od nas; tym sposobem może człowiek, iszcząc prawo moralne, utrzymać i podnieść istotę swoją ku nieskończoności. Nie tak jest z narzędziami cielesnemi, gdzie iści się szczęście: te, jako impulsywne, zależą od przyczyn, znajdujących się poza nami, i nie mają nic, że tak powiem, wspólnego z naszą istotą własną Tak tedy, uczucie naszej wyższości, polegające na wolności naszej, t. j. na naszej niezależności od przyczyn nam obcych, a które odróżnia rzeczywiście jednego człowieka od drugiego, uczucie to, powiadam, jest tem, co stanowi zacność.

W o j s k o w y. — Ale jakże to uczucie zacności wiąże się z religją?

K s i ą d z. — Uznając prawo moralne, które, jak to wykazałem, jest źródłem uczucia zacności, a które ma za przedmiot sprawiedliwość, przez to samo uznajemy sprawiedliwość jako prawdę istotną. A zatem trzeba uznać za prawdziwego i istotnego, najwyższego Sędziego wszechmocnego, łączącego świat moralny i wolny, w którym panuje sprawiedliwość, ze światem fizycznym i impulsywnym, gdzie przebywa szczęście.

W o j s k o w y. — Ależ tego właśnie dokonywają prawa społeczne.

K s i ą d z. — Prawa społeczne nie sięgają poza uczynki ludzkie, dające się sprawdzać faktycznie; ale nie dosięgają moralnych ich maksym, powodujących uczynkami, a nie dających się dojrzeć sędziom ziemskim. A przecież w tych właśnie maksymach moralnych, w tych ukrytych sprężynach uczynków naszych, przebywa sama zasada sprawiedliwości. Trzeba tedy koniecznie, uznając sprawiedliwość powszechną, od której godność nasza zależy, uznać też najwyższego Sędziego, Boga, który może przezierać serca nasze i rozdzielać dobro, na tym i tamtym świecie, według tejże sprawiedliwości powszechnej.

W o j s k o w y. — W takim razie każdy zacny człowiek mógłby w swojem sumieniu uznać ten przewzniosły porządek moralny, nie potrzebując wyrażać takiego uznania przez jawne oddawanie czci dla Boga czyli przez religię.

K s i ą d z. — Takie jawne wyrażanie i uznawanie porządku moralnego jest powinnością, obowiązkiem wszystkich ludzi, albowiem przez ustanowienie społeczności moralnej, stanowiącej Kościół, ziszcza się na ziemi Królestwo Boże. Jakoż, w tej to społeczności duchowej jedynie mogą ludzie dopełnić ziszczenia prawa moralnego, uważając je jako prawo boskie i dołączając do porządku społecznego, rządzonego czysto ludzkiemi prawami, porządek przewzniosły, rządzony jedynie prawem Bożem, iszczącem w ten sposób na ziemi sprawiedliwość wiekuistą.

W o j s k o w y. — W takim razie winnaby być tylko jedna religja.

K s i ą d z. — Właśnie o tem mówiliśmy przed chwilą i co spisałeś dla siebie.

W o j s k o w y. — To prawda; pomyślę nad tem, i, jeśli mi wolno, przedstawię moje wątpliwości. Mam zaszczyt pożegnać!

K s i ą d z. — Niech Cię Bóg ma w swej opiece.

JÓZEF MARJA HOENE-WROŃSKI

NA WIDOWNI

Odwiedziny Szadka. — Dziś a przed wiekami. — Z Szadka blisko do Florencji — Bojowe pierwiastki chrześcijaństwa — Cytat z Chestertona — „Ponurość" Średniowiecza a pokolenie współczesne.

NIEZBYT dawno, bawiąc przez kilka dni w odwiedzinach na wsi, w ziemi sieradzkiej, miałem sposobność obejrzeć niewielką, parę zaledwie tysięcy mieszkańców liczącą osadę Szadek. Miasteczko, jak setki innych: brzydkie, tandetnie budowane domki mieszkalne, trochę kiepsko zaopatrzonych sklepików, niechlujne żydy.

O ileż lepsze i bardziej pociągające wrażenie wywoływać musiał tenże sam Szadek przed laty pięciuset, za pierwszych Jagiellonów, gdy dla czynienia zadość religijnym potrzebom pobożnych mieszczan przebywało tam stale dwunastu księży, gdy istniało pięć zorganizowanych cechów rzemieślniczych, gdy synowie zamożniejszych rodzin miejskich gromadnie udawali się na studja wyższe do odległej, krakowskiej Akademji [1]). Do dziś jeszcze pozostały świadectwa minionej świetności: przestronny, szeroko rozplanowany rynek miejski i piękny kościół ostrołukowy, z ciemnej cegły, mocno wsparty grubemi szkarpami po bokach, tudzież u fasady.

Wyobraźmy sobie, jak w pięćdziesiątych latach wieku piętnastego wiele musiano rozprawiać śród mieszczan szadeckich i zjeżdżającej tam na sądy ziemskie czy sejmiki szlachty sieradzkiej o aktualnych w tej dobie sprawach, o wojnie z Zakonem Krzyżackim, na którą temi okolicami właśnie ciągnęli ku Pomorzu żołnierze Kazimierza Jagiellończyka, i o zdarzeniach bardziej miejscowego znaczenia: w tym czasie mianowicie, w roku 1451, burmistrz Damian i rajcowie miejscy, nie żałując zapłaty, umówili mistrza Jana z Wrocławia, aby malowidłami swemi ozdobił ściany kościoła w Szadku, podobnie jak to wykonał poprzednio w sąsiedniej Łęczycy.

Z fresków tych ocalały do dzisiaj drobne tylko, spłowiałe fragmenty. Najpiękniejszy z nich, „Stygmatyzacja św. Franciszka" niejedną nasuwa refleksję. Postać świętego, przyklękającego na jedno kolano, z dłońmi nawpół w górę wzniesionemi, Chrystus jako Serafin sześcioskrzydły, zlatujący z niebios z rękami rozkrzyżowanemi, układ całości, prymitywnej a subtelnej, pełen dekoracyjnego wdzięku — jakże wyraźnie, bez wątpliwości najmniejszych przywiodły mi na pamięć swój prototyp, znany, pełen uroku obraz Giotta, przechowywany teraz w Luwrze paryskim [2]). Jak wymownie uwydatnia się na tym drobnym przykładzie jedność cywilizacyjna Średniowiecza! Jak w gruncie rzeczy niedaleko było wtedy, za czasów Jagiellońskich, z Szadka do Florencji!

Powyżej „Stygmatyzacji", na tej samej ścianie grubego filaru, resztki drugiego fresku, podobnież w znacznej mierze uszkodzonego i wyblakłego: postać, zdaje się, Matki Boskiej, po bokach figury świętych, przyczem każda dzierży w dłoni wielki miecz obnażony, ostrzem wzwyż, jakby na dowód gotowości do walki, przypomnienie, że „bojowaniem jest żywot człowieczy".

Miejscowy ks. wikary, uprzejmie oprowadzający mnie po kościele, wskazuje na niewielkie drzwiczki w bocznej ścianie:

— Tam niegdyś odbywało się lanie kul przed wyprawą wojenną...

Po chwili, zatrzymując się przed fasadą, zwraca uwagę na pokaźnych rozmiarów kamień, w osobliwy jakiś sposób wyżłobiony:

— To dlatego, że szlachta okoliczna miała zwyczaj ostrzyć tu swoje szable...

Przez otwarte drzwi przezierało wnętrze świątyni, rozjaśnione promieniami słońca, zwysoka padającemi wskroś szybek gotyckich okien. Jakiż blask oślepiający wypełniać musiał kościół cały, gdy te promienie odbijały się w świecących klingach, wyciągniętych z pochew podczas czytania Ewangelji!

Ta bojowa, rycerska strona chrześcijaństwa tradycjami swemi raz po raz przemawia do nas ponad przedziałem stuleci, znajdując odzew w najgłębszych, w ciągu wieków kultury katolickiej kształtowanych naszych instynktach moralnych. Tej świadomości nie zagłuszy mazgajska frazeologja, pokrywająca lęk przed narażaniem się i zamiłowanie do wygody. Oto obchodzimy w roku bieżącym tysiąc dziewięćsetną rocznicę Zmartwychwstania, a na ołtarzach kościelnych stawiana jest figura Zbawiciela, trzymającego w ręce szkarłatną, jak krew przelana, chorągiew Zwycięscy.

*

Mądre, głębokie uwagi o tym bojowym pierwiastku w chrześcijaństwie, czytałem niedawno w najpiękniejszej może pod względem literackim, niestety, nie tłumaczonej dotychczas na język polski książce G. K. Chesterton'a *„The new Jerusalem"*. Głos, jaki odzywa się do nas z kart Ewangelji, jego zdaniem

„...przemawia z tą powagą, jaka dźwięczy w apelu do żołnierzy; a najwyższą nutą jego jest pokonanie raczej, niż pokój. Gdy uczniowie po raz pierwszy rozesłani byli w świat, z twarzami zwróconemi ku czterem krańcom ziemi, i gdy następnie odwrócili się znowu, żeby złożyć hołd swemu Mistrzowi, nie powiedział On w tej godzinie Swego triumfu: „Wszystko jest tylko aspektem harmonijnej całości", albo „Wszechświat ewoluuje przez postęp ku doskonałości", albo „Wszystkie rzeczy znajdą swój koniec w Nirwanie", albo „Krople rosy padają w świetliste morze". Spojrzał w górę i rzekł im: „Widziałem szatana jako błyskawicę z nieba spadającego".

I jeżeli, mówi pisarz angielski, Bóg nie zstąpił na ziemię, aby walczyć ze złem, „nawet w najciemniejszych skrytkach ludzkiej duszy, to wogóle nie rozumiem, po co przychodził"... Ta świadomość walki nieuniknionej, tak żywa w Średnich Wiekach, dla której właśnie uważano je częstokroć za epokę

[1]) Dane powyższe zaczerpnięte ze „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego", Warszawa, 1890, t. XI, str. 759 — 763. Tamże o późniejszym upadku Szadka informacja, że w drugiej połowie w. XVII, po spustoszeniach wojennych, „zubożali mieszkańcy rozchodzą się za zarobkiem w różne strony. Na ich miejsca napływają żydzi, których ściąga starosta dla powiększenia dochodów. Puścił im w dzierżawę dochody niektóre, jak: obroczne, kozikowe, łopatkowe, śledziowe. Skarżą się na to mieszczanie przed lustratorami w r. 1765 i 1789".

[2]) Wspomniany fresk w Szadku, reprodukowany jest w niezwykle pożytecznej pracy J. Starzyńskiego i M. Walickiego „Malarstwo monumentalne w Polsce średniowiecznej", Warszawa, 1929, nakładem Zakładu Architektury Politechniki Warsz. Fresk na tenże sam temat, w wykonaniu jeszcze bliższy Giottowskiego wzoru, a będący jednem z malowideł z w. XV — XVI, zdobiących krużganki przy kościele Franciszkańskim w Krakowie, oglądać można w reprodukcji w dziele zbiorowem: „Polska, jej dzieje i kultura", Warszawa, nakładem księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego, tom I, str. 450.

„mroczną“, „ponurą“ — dziś na nowo jakże wymownie trafia do dusz współczesnego pokolenia, czującego, iż droga przed niem nie łatwa, nie oczyszczona, że na wielki wysiłek i odwagę musi zdobyć się, by zapewnić zwycięstwo Prawdy, w którą wierzy. Ale też tem większą otuchą przejmują je słowa dawnej, już przed lat pół tysiącem w kościołach polskich śpiewanej Pieśni o Zmartwychwstaniu: „Starostę skował piekielnego“...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

„HAŃBA POLAKOM, którzy nie będą czynnie solidaryzowali się z akcją polskiej młodzieży akademickiej“. Brzmi to całkiem jak oddźwięk niezakończonej walki w obronie autonomji szkół wyższych, chodzi jednak o coś innego. W danym razie „młodzież akademicka“ to tylko mało znacząca grupka „Strzelca“ i „Legjonu Młodych“, a zacytowane gromkie słowa — to końcowy urywek wezwania do bojkotu książek, gazet i wogóle wszystkiego, co niemieckie. „Hańba...“ Niespodziewanie z akcją młodzieży „Legjonu“ nie solidaryzował się rząd i krzyczącym zamknął usta. „Naskutek nakazu władz państwowych demonstracje antyniemieckie, prowadzone od kilku dni przez Legjon Młodych, zostały przerwane“ — obwieścił wydany przez grupkę komunikat. A „Gazeta Polska“ zdumiała się, że młodzież „potrafi zapanować nad namiętnościami...“

Cała ta historja namiętności, które uspokoiły się tak punktualnie, mówi o wciąż niedostatecznem wyrobieniu politycznem obozu „państwowego“. Wiele tłumaczy się tradycją polityki, co w czasie wojny światowej nie umiała dobrze zrozumieć niebezpieczeństwa niemieckiego, a „przejrzała“ dopiero po dojściu w Niemczech do władzy młodego ruchu narodowego. Nagle uświadomieni, działacze sanacyjni nie zdali sobie sprawy z tego, że wogóle „demonstracje“ antyniemieckie w obecnej chwili nie mają sensu — bo niema nic nowego do zademostrowania. Naród naprawdę oddawna przyswoił sobie tę nowinę, że Niemcy są Polsce nieprzyjaźni. Oddawna to wie — i dlatego nie potrzebuje demonstrować wrogo przeciwko hitlerowcom. Jest w tem coś śmiesznego, i nawet błędnego w założeniu. Gdybyśmy mieli przypominać sobie, że Niemcy są naszym wrogiem, życie nasze byłoby jedną nieustanną demonstracją. Najmniej fortunnie zaś jest podejmować demonstracje w momencie, gdy w Niemczech odbywa się przewrót wewnętrzny, organizujący życie na zasadach, pod niejednym względem także i Polakowi sympatycznych. Owszem, możemy wiedzieć pomyślną zapowiedź dla wszystkich narodów w tej strefie Europy w tem, że jeden z nich nagłym odruchem spróbował unieszkodliwić u siebie te czynniki rozkładu, które są nieszczęściem powszechnem. Nie czujemy się w obowiązku podziwiać tego, co w odruchu owym jest tylko pogańskie i dzikie, ale trudno też nam nie żywić uznania dla samego wysiłku odrodzeńczego Niemiec. Jeżeli przy tej dopiero okazji pewne koła polityczne przekonały się, że w Niemcach mamy wroga — a nie przy okazji wspomnień o Płowcach, Grunwaldzie, czy świeższych o niemieckiej okupacji z czasu wojny światowej — to mówi o zacofaniu politycznem tych kół; ale to nie żaden powód, żeby społeczeństwo pchać do drażniących demonstracyj przeciw Niemcom, gdy w stosunku naszym do nich nic się zasadniczo nie zmieniło. Ci, co się tak pomylili, dali pokaz nietyle nastrojów antyniemieckich w społeczeństwie — ile własnej prymitywności w rzeczach politycznych.

JAK ŹLE INFORMUJE NAS O ZDARZENIACH W NIEMCZECH Polska Agencja Telegraficzna! Gdyby nie korespondent berliński „Gazety Warszawskiej”, nie wiedzielibyśmy np., że liczby adwokatów-Żydów w stolicy Niemiec zredukowana została z kilku tysięcy—do trzydziestu sześciu. Szczegół ten jednak obrazuje wcale nieźle wielkość dokonywającego się przewrotu. Podobne, lub większe zmiany zaszły w sądownictwie, w administracji państwowej i w wielu korporacjach zawodowych. Widowisko to tem efektowniejsze, że tak porządkuje swoje sprawy domowe naród, co doniedawna był najwybrańszym pupilem międzynarodowej masonerji, a i do dziś, w sprawach takich, jak rewizja traktatów, poparcia jej jeszcze całkowicie nie stracił. Złudna jest, naszem zdaniem, nadzieja, że przewrót hitlerowski w Niemczech pogrzebie sprawę rewizji traktatów na terenie międzynarodowym. Przeciwnie, jasną jest rzeczą, że gdyby nie ten przewrót, Mussolini nie wystąpiłby w tak otwarty i tak dla Niemiec sympatyczny sposób ze swoim projektem dyrektorjatu czterech, mającego urzeczywistnić tę rewizję. Nie trzeba zbytnio wierzyć zapewnieniom agencyj i korespondentów żydowskich o całkowitej izolacji moralnej Niemiec. W jednem przynajmniej wielkiem mocarstwie, we Włoszech, zdobyły sobie gorętszą życzliwość rządu i opinji... a to wcale realny zysk, i niezłe na początek. Znów uwydatniło się, ile tracimy przez to, że służbę informacyjną o tem, co dzieje się na szerokim świecie, pełnią w Polsce bez wyjątku prawie języki żydowskie. Jak poprzednio zbyt dokładny i zbyt pełny mieliśmy obraz tego, co Żydzi przedsiębiorą w zakresie bojkotu Niemiec, tak teraz niestosunkowo szczupłe dostajemy wiadomości o tem, jak Niemcy urządzają się we własnym kraju, eliminując wpływy żydowskie. Niejeden Polak usunięcie np. adwokatów Żydów z palestry warszawskiej gotów byłby uważać za mrzonkę wyobraźni, za coś oczywiście niemożliwego do przeprowadzenia, bo jak...? Tymczasem takie właśnie reformy przeprowadził u siebie nasz sąsiad zachodni w ciągu niewielu dni ostatnich... Jak łatwo i szybko dokonać można różnych rzeczy „niemożliwych”, gdy naród objawi po temu zdecydowaną wolę...

•

ŻYDZI POWTARZAJĄ STALE JEDEN ARGUMENT: Hitlerowcy nienawidzą wprawdzie żydów, ale j e s z c z e b a r d z i e j Polaków, tedy w interesie polskim wskazane jest ściśle współdziałanie z żydami. Wobec tego warto przypomnieć co pisał wydawany przez Alfreda Rosenberga „*der Weltkampf*“ o stosunkach polsko-żydowskich.

W numerze 49 ze stycznia 1928 r. czytamy w rubryce „*Polen*“ notatkę następującą:

„Wielkość bewstydu: W piśmie do marszałka Piłsudskiego wylicza Rada Narodowa Żydowska punkt po punkcie to, co jeszcze pozostało do spełnienia z obietnic (-(polskich)-) zniesienia ograniczeń carskich. Są tam postulaty następujące:“ Tu następuje znanych 9 punktów żydowskich, zaakceptowanych w zasadzie przez B. B., m. in. zniesienie spoczynku niedzielnego.

Po ich przytoczeniu pismo dodaje: „Trzeba te żądania kilkakrotnie przeczytać, aby zrozumieć cały ich bezwstyd. Hebrajczycy chcą Europejczykom zrabować nawet spoczynek niedzielny!”

Jak widzimy, sympatje organu hitlerowskiego się tu wyraźnie po stronie polskiej.

— „Proszę Pana — powiedział kiedyś jeden z przywódców niemieckiej młodzieży narodowej do wszechpolaka, delegata na zjazd Międzynarodowej Konfederacji Studentów — jesteśmy i pozostaniemy wrogami, cieszę się na myśl, iż będziemy jeszcze kiedyś do siebie strzelali, ale możemy się nawzajem szanować. Żyda zaś szanować nie sposób”.

PISMA ŻYDOWSKIE W POLSCE NIE USTAJĄ W KAMPANJI „ANTYNIEMIECKIEJ“. Niedawno umieściły one list otwarty lekarza — Żyda, wzywającego swych kolegów po fachu do bojkotu wyrobów farmaceutycznych firm „Bayer“ i „Merzk“, jako popierających akcję hitlerowską. List kończy się uwagą, że wyrabiane w Polsce fabrykaty są bynajmniej nie gorsze od niemieckich i obowiązkiem lekarzy Żydów jest je obecnie popierać dla zgnębienia na swym odcinku niemieckiego antysemityzmu.

List to bardzo ciekawy dla zrozumienia psychologji Żydów. Stwierdza on, że lekarze—Żydzi popierali dotąd wyroby niemieckie, choć w kraju posiadamy równie dobre (a zapewne tańsze) polskie. Wszelkie apele do „patrjotyzmu gospodarczego“, wykazywanie konieczności polepszenia naszego bilansu handlowego, akcja „Ligi Samowystarczalności Gospodarczej” — spłynęły po Żydach jak woda po kaczce. Dopiero teraz, gdy Niemcy stały się antysemickie, Żydzi rozpoczęli „patrjotyczną” akcję popierania wyrobów krajowych. Czyż to nie najlepszy dowód istnienia odrębnej polityki żydowskiej w której planach i akcjach Polska jest jedynie objektem?

Niechże pomyślą nad tą współczesną rzeczywistością sanatorzy, tkwiący dotąd duchowo w epoce rabina Majzelsa i przyjmujący bezkrytycznie wszystko, co mówią Żydzi.

PRZYZNANIE NAGRODY LITERACKIEJ BOYOWI było orginalnym zaiste aktem kurtuazji. Przyjęło się, że (jak dotąd) nagroda Warszawy ma charakter jakgdyby emerytalny i przyznawana jest za całokształt działalności. W istocie jednak przypada przedewszystkiem za utwór, ogłoszony w ciągu lat ostatnich. Otóż Boy w ostatnim okresie ogłosił trzy książki: „Znasz li ten kraj”, „Nasi okupanci” oraz „Śmiech, uśmiech i zgroza”. Dwie ostatnie, to bardzo słabe stosunkowo zbiory fejletonów i artykułów publicystycznych; trudno o bardziej niezdarny szkic „filozoficzny”, niż tytułowa np. rozprawka o „śmiechu”. Wychodzi w nich na jaw nikłość intelektualna Boya; i naprawdę niełatwo, choćby dla względów formalnych, uzasadnić nagrodę „Śmiechem”, czy tamtym drugim, tendencyjnym zbiorkiem o „Okupantach” (księżach). Pozostaje książka „Znasz li ten kraj”, sentymentalne wspomnienia o Krakowie. Przyznanie nagrody za tę ostatnią książkę jest conajmniej osobliwe z tego powodu... że to jednak nagroda Warszawy. Boy zaś tak wyraźnie jest emerytem Krakowa. Przedstawił listę swoich zasług dla Krakowa... a wszechpolacy jak Breiter pośpieszyli go nagrodzić od Warszawy.

NAUKA I LITERATURA

JUBILEUSZ POLSKIEGO TOWARZYSTWA FILOZOFICZNEGO WE LWOWIE

DLA ROZWOJU nauk filozoficznych we współczesnej Polsce, obok założonego w Warszawie w 1898 r. przez W ł a d y s ł a w a W e r y h ę, a ukazującego się do dziś dnia, „Przeglądu Filozoficznego“ i stworzenia w Krakowie przez ks. S t e f a n a P a w l i c k i e g o i M a u r y c e g o S t r a s z e w s k i e g o ośrodka badań historycznych, największe zasługi położył prof. K a z i m i e r z T w a r d o w s k i i stworzona przez niego t. zw. szkoła lwowska. Autor klasycznego już dzieła: „*Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen*“, które niestety jeszcze nie zostało wydane po polsku, a przedewszystkiem znakomity pedagog, który w ciągu zgórą 30-letniej swej działalności na katedrze filozofji na Uniw. Jana Kazimierza, wykształcił parę pokoleń polskich filozofów, psychologów i pedagogów (świadczy o tem ilość katedr uniwersyteckich, obsadzonych przez jego uczniów we Lwowie, Warszawie, Poznaniu i Wilnie), był inicjatorem i twórcą pierwszego w Polsce Towarzystwa Filozoficznego. Polskie Towarzystwo Filozoficzne we Lwowie, założone 12.II 1904, rozwijało w latach przedwojennych ożywioną działalność naukową i wydawniczą, skupiając w swem gronie prawie wszystkich ówczesnych polskich filozofów. Lata wojny, okupacja Lwowa, a przedewszystkiem wielki odpływ inteligencji polskiej, po odzyskaniu niepodległości, do innych dzielnic zahamował na pewien czas rozwój Towarzystwa, które jednak nie zamarło i w miarę przypływu nowych, młodych sił ożywiało swą działalność. Nic więc dziwnego, że, obchodząc w 1929 r. jubileusz 25-lecia swego założenia, Polskie Towarzystwo Filozoficzne postanowiło go upamiętnić wydaniem „Księgi Pamiątkowej“[1]), z pracami swych członków. Na obszerne to dzieło, będące jednem z najpoważniejszych polskich wydawnictw filozoficznych doby ostatniej, złożyło się przemówienie prof. T w a r d o w s k i e g o i odczyt prof. T a d e u s z a K o t a r b i ń s k i e g o p. t.: „O r ó ż n y c h z n a c z e n i a c h s ł o w a „m a t e r j a l i z m“, wygłoszone na obchodzie jubileuszowym oraz 20 rozpraw, z których 3 są poświęcone logice, 3 semantyce, 2 filozofji fizyki, 8 psychologji, 4 historji filozofji.

To, że większość autorów księgi są to b. uczniowie prof. Twardowskiego, aczkolwiek nie wszyscy najwybitniejsi są w niej reprezentowani, wytworzyło specjalny charakter tego dzieła. Prof. T w a r d o w s k i, sam będąc uczniem znanego austrjackiego filozofa F r a n c i s z k a B r e n t a n y (1838—1917), stworzył w filozofji specjalną (zbliżoną pod niejednym względem do brentanowskiej) szkołę, t. zw. lwowską. Szkołę tę charakteryzuje przedewszystkiem nie doktryna (drogi różnych jej członków są nieraz bardzo rozbieżne), lecz metoda, polegająca na dążności do jaknajdokładniejszego opisu i analizy faktów, zachodzących w rzeczywistości, do najściślejszego i najostrożniejszego formułowania swych myśli i do wyrobienia najprecyzyjniejszej terminologji filozoficznej. Drugą cechą tego stanowiska jest skupienie zainteresowań przedewszystkiem na zagadnieniach logicznych, semantycznych i psychologicznych. Stąd nie dziw, że w „Księdze“ nie znalazła się żadna rozprawa, poświęcona etyce lub estetyce. Prócz tych cech, związanych ze środowiskiem, znać duży wpływ na niektórych autorów E. H u s s e r l' a i jego szkoły t. zw. fenomenologów, a także A. M e i n o n g a.

---

[1]) „K s i ę g a P a m i ą t k o w a“ Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie. 12.II.1904 — 12.II.1929. Z zasiłku Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Lwów 1931. Polskie Towarzystwo Filozoficzne. Skład główny w Księgarni S. A. Książnica-Atlas. (Ukazała się dopiero latem 1932 r.). Str. VIII + 484.

Nie mogąc tutaj referować szczegółowo i omawiać krytycznie, z powodu braku miejsca, wszystkich prac, pozwolimy tu sobie wymienić tylko niektóre tak, aby czytelnik mógł zorjentować się. co zawiera ta książka, będąca chlubnem świadectwem współczesnego stanu filozofji polskiej. A więc prof. Kotarbiński, sam znany zwolennik materjalistycznego światopoglądu o odcieniu dynamicznym, daje w wyżej wymienionym odczycie wnikliwą klasyfikację i przegląd różnych, spotykanych w filozofji, znaczeń słowa „materjalizm". Zaznajomienie się z tą rzeczą będzie pożyteczne nietylko dla wyznawców materjalizmu, lecz także dla każdego, ktoby chciał zapoznać się z prądami, panującemi w tym kierunku filozoficznym. Prof. Kazimierz Ajdukiewicz w rozprawie: „O znaczeniu wyrażeń" daje próbę, posługując się przytem całym aparatem naukowym współczesnej semantyki, ścisłej definicji słowa „znaczenie". Interesujące studja dr. W. Auerbacha: „O zwątpieniu" i dr. L. Blausteina: „O naoczności niektórych przedstawień" mogą służyć za wzór tego, jak się do pewnych zagadnień psychologji zabierają członkowie szkoły lwowskiej. Prof. Stefan Baley w rozprawie: „Uwagi o podziale uczuć na przedstawieniowe i przekonaniowe" broni i zastanawia się nad pewnemi własnościami tego podziału uczuć, wywodzącego się od Meinonga. W pracy „O samoistności i niesamoistności" p. E. Blausteinowa zastanawia się nad sposobem ścisłego określenia tych pojęć i nad pożytkiem wprowadzenia ich do terminologji filozoficznej. Króciutki artykulik prof. R. Ganszyńca: „Czy Sokrates należy do historji filozofji?" jest właściwie wezwaniem do wszczęcia dyskusji (dobrzeby było, gdyby ktoś ją podjął) na temat, zdawałoby się, paradoksalny, możliwości pominięcia w podręcznikach historji filozofji postaci Sokratesa, bo według Autora właściwie to, co wiemy o jego filozofji, nie pochodzi od niego, a nauki, zawarte w pismach Xenofonta i Platona, dadzą się powiązać z t. zw. filozofją przedsokratyczną. Znany polski fenomenolog, doc. Roman Ingarden omawia obszernie i interesująco: „Niektóre założenia idealizmu Berkeleya". W stylu i w sposobie podejścia do rzeczy poznać tu można odrazu wielki wpływ E. Husserl'a i jego szkoły. „Polska mistyka romantyczna wobec koncepcji paralelizmu światów" prof. J. Kleinera jest to ciekawy przyczynek porównawczy pewnych przejawów polskiego romantyzmu z niektóremi spekulacjami mistycznemi (czy też pseudo-mistycznemi) o zabarwieniu kabalistyczno-gnostycznem. Subtelne uwagi krytyczne, dotyczące przedewszystkiem poglądów K. Stumpf'a, zawiera rozprawa doc. Mieczysława Kreutza: „O podobieństwie wrażeń". Badacz i znawca filozofji Hobbes'a, dr. Z. Łubieński omawia „Znaczenie pojęcia umowy w systemie filozoficznym Hobbes'a", czyli znaczenie terminu podstawowego dla etyki i filozofji społecznej tego angielskiego myśliciela. Jeden z najwybitniejszych logików współczesnych prof. Jan Łukasiewicz umieścił w Księdze „Uwagi o aksjomacie Nicod'a i o „dedukcji uogólniającej", mogące być wzorem ścisłego, a jednocześnie przystępnego (dla osób choć trochę zaznajomionych ze współczesną logiką matematyczną) wykładu. Oprócz kwestyj czysto logicznych, poruszona jest tutaj sprawa starego przesądu filozofów i logików tradycyjnych, że rozumowanie dedukcyjne prowadzi od ogółu do szczegółu, a tylko indukcja daje możność wnioskowania ze szczegółów o ogóle. Logika teraźniejsza zna właśnie takie wypadki rozumowania dedukcyjnego, gdzie przechodzi się od pewnych zdań do zdań bardziej ogólnych. Segregację i analizę pewnych stanów psychicznych zawiera gruntowna praca prof. Wł. Witwickiego: „O źródłach poznania życia uczuciowego". „W „sprawie indeterminizmu fizyki kwantowej", tak aktualnego tematu, pasjonującego teraz i fizyków i filozofów, a polegającego na tem, że pewne wyniki fizyki współczesnej kwestjonują obowiązywanie w niektórych wypadkach zasady przyczynowości w świecie elektronów (stąd wielkie zainteresowanie dla tych spraw ze strony filozofów, zajmujących się zagadnieniem determinizmu, indeterminizmu, wolnej woli), zabiora głos profesor metodologji nauk na Uniw. Poznańskim, Zygmunt Zawirski.

LAMBDA

ZE ŚWIATA NAUKI, LITERATURY I SZTUKI

Komitet konkursowy nagrody literackiej m. Warszawy przyznał nagrodę 1933 roku Tadeuszowi Żeleńskiemu (Boyowi), współpracownikowi „Wiadom. Literackich" i krakowskiego „Kurjera Codziennego", pod którego firmą powstała obecnie w Polsce Liga reformy obyczajów, jako filja międzynarodowego ruchu wolnomyślicieli. Na 11 członków komitetu na to nazwisko padło sześć głosów. Skład komitetu był taki: czterej przedstawiciele zarządu miasta, mianowicie z prezydjum p.p. Słomiński i Wilczyński, oraz z Rady miejskiej Kaden-Bandrowski i p. Moszczeńska. Potem prof. Ujejski, Baliński, z literatury: Kiedrzyński, Parandowski, Hertz, Pomirowski, Breiter, jako przedstawiciele zrzeszeń zawodowych i uniwersytetu (Ujejski). Z komitetu literatów przypada na publicystykę 1 (p. Moszczeńska), na beletrystykę 5, na krytykę literacką 3 (Ujejski, Pomirowski, Breiter). Sprężyną nagród literackich m. Warszawy jest zawsze Kaden-Bandrowski, osadzony w Radzie miejskiej. On sam, Breiter i zapewne paru innych należą do międzynarodowego PEN-klubu. Ich głos jest decydujący. Skład tego komitetu pokazuje, jak zegar, jaki jest poziom i układ stosunków w kulturalnej Warszawie. Opinja wysuwała do nagrody, ile nam wiadomo, Nowaczyńskiego, Miriama (Przesmyckiego), z młodego zaś pokolenia St. Godlewskiego autora „Warszawy". Członkowie Sądu konkursowego wysunęli nadto Adama Grzymałę Siedleckiego, Świętochowskiego i M. Rodziewiczównę. Po trzech głosowaniach zważyły się wartości Rodziewiczówny i Boya. Ostatni przeważył jednym głosem. Boy dostał nagrodę za książeczkę, złożoną z fejletonowych opowiadań, jak to było 25 lat temu w Krakowie z jego Zielonym Balonikiem. Ileż więcej mu winien Kraków, gdzie był ten Balonik! Warszawa nagradza za samo opowiadanie, ponosząc najsmutniejsze skutki rozkładu, jakie ten Balonik w literaturze spowodował.

*

Nagrodę artystyczną m. Warszawy otrzymała za całokształt działalności Zofja Stankiewiczówna, zasłużona zwłaszcza na polu grafiki (akwaforta).

*

Nagrodę naukową m. Warszawy otrzymał znakomity uczony, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, b. rektor St. J. Thugutt.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

35 lat zasługi naukowej, 25 lat pracy pedagogicznej, 60 lat życia prof. Wacława Sobieskiego uczciła niedawno okazała „Księga Pamiątkowa", której tom I nas doszedł. Podjęto wydawnictwo staraniem uczniów profesora.

Okazje podobne wyzwalają momenty uczuciowe. Oto atmosfera jubileuszu: dokonania i osiągnięcia badawcze liczbuje się wówczas, jak pozycje bibljografji; lata pracy, trawionej w bibljotekach, archiwach, na katedrach uniwersyteckich, pęcznieją w cyfry okrągłe, które nabierają osobliwej powagi. Więc jeden jeszcze snop zboża: to szkoła profesora, jego seminarjum, uczniowie, potem towarzysze; wyprowadzone w świat, wychowane, pielęgnowane długo młode pokolenie naukowe: ci, którzy są z niego. W genezie wydawnictw podobnych, tych ksiąg, tych dedykacyj, wiele jest zawsze z rzeczy, których można doświadczać, ale które trudno sądzić zdaleka.

Sprawa przecież ma i drugą stronę. Dość namnożyło się w ostatnich latach równie pamiątkowych tomów, które, sprzyjając mikrografji naukowej, niezawsze przynoszą rozprawy dojrzałe, czekające tylko na druk. Wymiana zdań, którą zagaił niedawno na łamach „Nauki Polskiej", XVI, prof. Rutkowski, świadczy wyraźnie o niebezpieczeństwie, które grozi formom organizacyjnym podobnej pracy wydawniczej. O rzeczy decydują warunki indywidualne: nazwisko jubilata, redaktor księgi, lista współpracowników. Dobrze to ilustrują

studja, poświęcone Sobieskiemu: — są dostatnie w rynsztunku myślowym, dojrzałe i nieprzypadkowe w treści. Jeszcze to jeden sprawdzian pracy profesorskiej: miło jest spojrzeć na plony takiego właśnie posiewu.

Przedmowę do Księgi napisał prof. Halecki. Przedstawił tu tereny działalność jubilata: zrazu Warszawę, potem Kraków, ocenił jego zainteresowania historyczne, rozmach syntezy, pełnej intuicji i polotu. Zaznaczył przymierze uczonego z obywatelem: prof. Sobieski wiele lat trudu naukowego poświęcił zagadnieniu morza. Wskazał pion pracy badawczej Sobieskiego: mocną wiarę w naród. Powołał się na różnorodność zainteresowań, na znaczne osiągnięcia pedagogiczne. Seminarjum Sobieskiego kształci wspaniałe zastępy uczniów. W szczegóły wprowadził K. Piotrowicz, zestawiając bogatą bibljografję prac profesora.

Znalazły się dalej rozprawy następujące: H. Barycz ogłasza szkic o Janie Brożku p. t. „Pierwszy historyk nauki i kultury w Polsce“. St Bodniak daje rozprawę „Pierwsi strażnicy morza“. Wł. Czapliński ocenia „Ostatni hołd pruski“. W. Dobrowolska przedstawia stan badań i postulaty naukowe czasów Zygmunta III. O. Halecki kreśli „Początki stosunków politycznych między Polską a Francją“. K. Lepszy prowadzi w zagadnienie znacznej donioslości naukowej: Prus Książęcych a Polski w latach 1576 — 78. Rozwija chronologicznie ten sam problem K. Piwarski, autor rozprawy „Polityka bałtycka Jana III“. Zamykają Księgę studja: A. Strzeleckiego i M. Weryńskiego: „Noc 15 sierpnia w powstaniu listopadowem“.

Niejedna z tych rozpraw zasługuje na wzmiankę obszerniejszą, także na łamach pism ogólnych. Wszystkie razem, w zespole, świadczą wyraźnie o różnorodności podniet naukowych, które prof. Sobieski rozdaje. Wśród współpracowników Księgi spotykamy nazwiska, dobrze zapisane w nauce już dzisiaj. Chlubnie to mówi i o mistrzu. (E. P.)

*

Nakładem czasopisma „Zet“ ukazało się Hoene-Wrońskiego „Prawo Tworzenia“, spolszczył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. (Warszawa, 1933, str. 32).

Podstawowa idea H.-Wrońskiego, t. zw. „Prawo Stworzenia“, nie jest nieznana w Polsce. Traktują o niej 1) Warrain „Wiązanie metafizyczne, sporządzane według Pr. Stw. Hoene-Wrońskiego“ (Art), oraz w odczycie p. t. „Prawo Stworzenia“, wygłoszonym przez niego w Sorbonie ku czci Wrońskiego (odbitka z „Drogi“), 2) Cherfils „Zarys religji naukowej. Wstęp do Wrońskiego“ (Hoesick). Pisał P. Chomicz w pracy: „H.-Wrońskiego Pr. Stworzenia, jako podstawa reformy wiedzy ludzkiej“ („Kwartalnik Filoz.“, 1929), oraz w artykule, drukowanym w „Myśli Narodowej“ (1928 Nr. 1).— Wymienione w tytule dziełko stanowi wyjątek z „Nomotetyki“ H.-Wrońskiego, dotychczas nie wydanej po polsku. (P.C.)

[Paulin Chomicz]

ZE ŚWIATA SZTUKI

Wystawa jubileuszowa Ignacego Pieńkowskiego, w Zachęcie, składa się z przeszło 80-ciu prac. Są to obrazy olejne z rozmaitych okresów twórczości malarza, martwe natury i pejzaże, w rozmiarach przeciętnych, najczęściej spotykanych, aż do wielkich kompozycyj, jedno lub kilkofigurowych.

Decyzja malowania dużych dzieł, o rozległej treści, sama przez się, świadczyłaby raczej dodatnio o ambicjach Pieńkowskiego. Zwłaszcza dziś, gdy nieraz jesteśmy świadkami kroczenia po linji najmniejszego oporu i skłaniania się ku zadaniom jaknajskromniejszym, których nikła treść zwęża zarazem koło możliwości plastycznych. Znając trud przebycia drogi między zamiarem a spełnieniem, wiemy, iż wszelkim odważniejszym poczynaniom towarzyszy ryzyko: uda się, nie uda? Gdy jednak ryzyko, w stosunku do sprawności poczynającego, jest zbyt wielkie, gdy nadto kilkakrotne próby już wykazały, że trudność zadania przewyższa siły lub też z zamiarem nie idzie w parze dostatecznie pogłębiony wysiłek — wówczas daleko mniejszy mamy podziw dla ambicji, połączonej z takim brakiem rozwagi. Szczerze mówiąc, doznajemy wtenczas uczucia podziwu nieco innego gatunku: dziwimy się lekkomyślności artysty, uderza nas niemile brak samokrytycyzmu, ślepota u człowieka, który z tytułu swego zawodu właśnie powinien wykazać wyostrzoną zdolność widzenia.

Tak u Pieńkowskiego. Artysta wykazuje chwalebną, w zasadzie, chęć malowania dużych, skomplikowanych kompozycyj i na tem koniec. Ogromowi zadania nie towarzyszy powaga wysiłku, zasób dostateczny umiejętności, napięcie uczucia, nieraz ożywiające płód niezupełnie udały — i w rezultacie mamy twory poronione (np. „Sztuka i Życie“).

Rozejrzenie się w nagromadzonym materjale utwierdza nas w mniemaniu, że właściwem polem dla malarstwa Pieńkowskiego jest prostokąt płótna niewielkich rozmiarów. Pstra i nieraz dosadna barwność przedmiotów, wybranych do odtwarzania (martwe natury), czyniąca z obrazu kolorową szachownicę, zupełnie inaczej działa w małych dawkach. Tu różnolitość, z braku przestrzeni, nie grozi jeszcze chaosem. Zasadniczy błąd natomiast popełnił artysta, lekceważąc ścisły związek, jaki istnieje między wielkością obrazu, a sposobami jego wykonania i skalą tych sposobów.

Przypominam sobie pewnego młodego malarza, twórcę dużych, monumentalnych płócien. Utalentowany ten artysta wykonał potem kilka portretów. Wyglądały one, jak wycinki, fragmenty poprzednich wielkich obrazów. Malarz, szeroki rzut pendzla, z monumentalnej kompozycji, żywcem przeniósł do małego portretu. Jakby ktoś z powieści wykrajał rozdział i powiedział, że to nowela.

Pomijając kwestję techniki (pociągnięcie pendzlem), o Pieńkowskim można powiedzieć, że postąpił odwrotnie, potęgując w znacznym stopniu nieznośność błędu. Jego obrazy czynią niejednokrotnie wrażenie zlepku szeregu małych obrazków, takie płótno, gdyby je pociąć i oddzielne skrawki poprawiać w ramki, dałoby pewną ilość malowideł, mniejszych wprawdzie, lecz znacznie lepszych. Tych wszystkich fragmentów, szczegółów i szczegółków nie jednoczy na wielkiem płótnie żaden zasadniczy i wspólny trzon kompozycyjny, zaznaczony, czy to barwą, czy też walorem (ze względu chociażby na rozpiętość perspektywiczną takiego kawałka przestrzeni), lub wreszcie rysunkiem. Tu co krok „każdy sobie rzepkę skrobie“, a w całości — straszliwy rozgardjasz. Wyrazista i nieraz surowa barwność plam jeszcze bardziej to podkreśla.

Pragnąłbym zwrócić pozatem uwagę na dwie inne cechy malarstwa Pieńkowskiego. Jedna dotyczy układu kompozycyjnego obrazów, rozumianego przez równowagę kształtów, rozmieszczonych na prostokątnej płaszczyźnie. Impresjonizm ani secesja nie przekazały w tym względzie dobrych tradycyj artystom z epoki Pieńkowskiego. Te też, sami mając dzisiaj w tej dziedzinie odmienne i daleko większe wymagania, nie poczytujemy za taki grzech, artyście starszej generacji, jego bardzo nikłych zainteresowań kompozycją, jako rytmiką form.

Natomiast, uwzględniając, najszerzej nawet, poglądy bliższej lub nieco dalszej przeszłości, nie jesteśmy w stanie powiedzieć wiele dobrego o ujęciu odtwarzanej rzeczywistości, w kompozycjach figuralnych malarza. Artysta może być obserwatorem natury i utrwalać jej życie na płótnie, może również, rezygnując z prawdy naturalistycznej,

mocą zniewalającej wizji obdarzyć obraz życiem samoistnem, kierującem się własną logiką.

Ani wiernego notowania natury, ani jakiejkolwiek zdecydowanej wobec niej postawy nie wykrywamy w całej serji obrazów Pieńkowskiego, odtwarzających t. zw. typy ludowe. Są to dwie (czasem jedna) postaci, stojące na tle werandy, ściany, pieca, okna i t. p. Stoją sobie i patrzą. Jakieś twarze martwe, bez wyrazu, tępe, o tępocie dobitnie podkreślonej beznadziejnie apatycznem malowaniem. Lepiej już było sfotografować stroje na manekinach (byłby dokument), bo i od fotografa, „zdejmującego“ żywych ludzi, wymaga się dziś więcej pomysłowości. A przytem cóż to za strój, autentycznie „wsioski“: jedna dziewucha w „botach“, a druga przyodziana w pantofelki, wykładane skórką kolorową, najwyraźniej od Strusia i Kieliszka.

Możemy również żyć bez perspektywy, skoro jednak już jest, niechże będzie w zgodzie przynajmniej z elementarnemi swemi zasadami.

Część obrazów, jak również i największa kompozycja p. t. „Sztuka i Życie“, mają za temat akt kobiecy. Piękno nagiego ciała, uniezależnione na obrazie od potocznej codzienności, nie będzie nigdy miało posmaku pornografji. Ale wystarczy namalować nagą kobietę w masce, kapeluszu, pantoflach, pończochach i t. p., obok drugiej osoby ubranej, na tle realistycznie potraktowanego wnętrza, aby cała sprawa przybrała całkiem inny obrót. Trzeba w takich razach ogromnego smaku artystycznego, by wybrnąć z sytuacji zwycięsko. Wprawdzie Rops tak właśnie ryzykancko stawiał kwestję, ale on chciał w kobiecie widzieć bestję i w ten sposób przenosił ją poza czas, czyniąc z niej wiekuisty symbol zła. Przytem siłą wyrazu artystycznego podbijał widza przedewszystkiem. Tego wyrazu brak Pieńkowskiemu w „Kobiecie i Życiu“. Kobieta jest tu nie naga, a rozebrana (przypominają o tem pantofle na nogach); beznamiętny stounek artysty do obrazu nadaje i modelowi wyraz bezdusznej obojętności, przypominając obojętność sprzedajnej dziewki, sprowadzającej sprawę do prostej funkcji.

Z obrazów, rozwiązanych szczęśliwie i zasługujących na wyróżnienie, trzeba wymienić martwe natury: „Imbryk Chiński“, „Dzbanki“ i „Cynerarje“ — wszytkie b. dekoracyjne, oraz pejzaż: „Drogę w Pieninach“, w którym notujemy nawet subtelności kolorystyczne, nie spotykane gdzieindziej.

*

Edward Kokoszko, kolekcją prac, przedstawił się jako artysta rzetelny, o technice dojrzałej, dobrym rysunku i niebylejakich przemyśleniach kolorystycznych (współgłos barwny w obrębie jednej i tej samej płaszczyzny). Słowem malarz poważny, posiadł dostateczne do wypowiedzenia się środki wymowy, czekajmy teraz, co nam powie.

Dla informacji dodaję: Kokoszko, po ukończeniu Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, przebywał w Paryżu, obecnie jest asystentem w naszej Akademji.

Pozatem z Zachęcie wystawili: Dybowski (kolekcja pejzaży) i usiłujący się podobać za wszelką cenę, a ściślej mówiąc, za cenę uczciwego wysiłku artystycznego — Norblin.

WIKTOR PODOSKI

Wszystkim Przyjaciołom „Myśli Narodowej“ — serdeczne życzenia „WESOŁYCH ŚWIĄT“

FILM

COLOSSEUM: „Gdybym miał miljon“, reżyserja E. Lubicza.

Bywa tak czasem w filmie, że wcale niezły scenarjusz nieumiejętna reżyserja kładzie na obie łopatki, lub też nieraz odwrotnie: dobry reżyser z błahostki uczyni rzecz godną widzenia, właśnie przedewszystkiem widzenia. Ideał—to oczywiście jednako wysoki poziom treści i jej reżyserskiej inscenizacji.

Zaletą filmu „Gdybym miał miljon“ jest przedewszystkiem oryginalny, świeży w pomyśle scenarjusz, reżyserji pozostaje — nic z niego nie zagubić. Samoistną wartością natomiast będzie lapidarna wymowność obrazów (to samo można przecież rozmaicie opowiadać). Opowieść mniej więcej tak wygląda. Umierający miljoner nie wie, komu zapisać majątek; najbliższych współpracowników ma za niedołęgów, a rodzinka? — nawet gadać nie warto: czyha tylko na śmierć starego i jeszcze za życia kłóci się o podział łupu.

Wkońcu miljoner wybiera z książki adresowej, na chybił trafił, kilka nazwisk i po miljonie dostaje kilku ludzi: subjekt, fałszerz, skazany na śmierć, prostytutka, żołnierz, staruszka z zakładu dla starców. Jakby małe doświadczenie: w oddzielnych klatkach (rozdziałach opowiadania) zwierzątka; każde dostaje porcyjkę zastrzyku — miljon; jak na to zareaguje? Aby to sobie wyobrazić, by umieć różniczkować reakcję, zależnie od warunków, w jakich się znajduje dany osobnik, trzeba lotnej inteligencji, bystrej obserwacji i—jeśli tak jak tu ujmuje się sprawę — dużej dozy dowcipu.

Możnaby zrobić zarzut, że film nie ma dobrze skomponowanej całości, bo składa się z tylu oddzielnych opowieści, ile osób dostało po miljonie, a miljoner, każdemu wręczający czek na 1.000.000 dolarów osobiście (jakoś nie zbiera mu się na śmierć), jest łącznikiem kompozycyjnie zbyt luźnym. Każdy akt reżyserował inny reżyser (rewja reżyserów), pod ogólnym kierunkiem Lubicza, nie tyle jednak dostrzega się w każdym barwy indywidualnej, jak tego, że tok opowiadania urywa się wraz z zakończeniem aktu.

Stąd właśnie porównanie filmu do próby naukowej, dokonywanej na rozmaitych organizmach. Rezultaty poszczególnych prób wyobrażone zostały — trzeba przyznać — nader interesująco, nieraz nie bez podźwięku głębszej nuty i wnikliwości, często z dowcipem. Najciekawiej wypadły sylwetki obdarowanych: subjekta w składzie cennej porcelany i fałszerza, dowcipnie — staruszki.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. KSIĄDZ ARCYBISKUP PIOTR MAŃKOWSKI

W POCIĄGU między Przemyślem a Lwowem, w powrocie z pogrzebu ś. p. ks. biskupa Nowaka, zmarł nagle ś. p. ks. arcybiskup Piotr Mańkowski, pierwszy po wojnie i jedyny, być może na długie lata, pasterz odnowionej djecezji kamienieckiej.

Ś. p. ks. Piotr, syn ś. p. marszałka podolskiego Walerego i Tekli z Łaźnińskich, wnuk generała kościuszkowskiego, wyrósł w domu, pełnym tradycyj niepodległościowych — ojciec wszakże więziony był w latach sześćdziesiątych i zdrowiem bodaj i życiem więzienie to przypłacił.

Ś. p. Piotr, zrośnięty też całą duszą z tradycjami Podola, wdziawszy suknię duchowną, poświęcił pracę swoją, sentyment i duży podówczas majątek odnowieniu katedry kamienieckiej, której był najpierw proboszczem, a potem biskupem. Kochał tę perłę naszych Kresów i duchem pozostawał jej wierny na wygnaniu buczackiem, a potem włodzimierskiem.

Kapłan kresowej wiary i chrześcijańskiej pogody pozostawia po sobie podtrzymane mury granicznej świątyni, dorobek ksiąg ascetycznych i *spem bonam certamque* w sercach pogrobowców wielkiej wojny, a pobratymców swoich od Zbrucza po Dniepr, że nie zginie polskość na wieki w tym kraju, jak nie zginęła dwieście lat temu po tureckich połogach,

OFENSYWA

„PARSIFAL“ I „POLONIA“

WIELKI Piątek... Cud Wielkopiątkowy... Parsifal... Fala wiosennych dawnych wspomnień... Ktokolwiek, kiedykolwiek w bawarskiem podgórskiem Beyreuth stanął nogą, kto tam przeżył kilka dni najcudniej wzniosłych, kto tam artystyczne bierzmowanie na życie całe otrzymał, ten już nigdy tego nie zapomni i jeżeli raz w młodości wszedł w wizyjny świat wielkiego mocarza dźwięków, stwierdził się tam w swem jestestwie, w swej przynależności aryjskiej (indoeuropejskiej) a jeśli przytem rasę i charakter zadzierżysty odziedziczył, ten już stale i na zawsze w imię tej przynależności, w obronie jej dóbr i bogactw duchowych wojować będzie i musi. Ten sam bowiem genjusz dramatyczny tą samą ręką napisał i Parsifala i... „Polonię“. Jedyny wśród największych muzyków świata, który w stuleciu niewoli Polaków, w latach ich największej niedoli, ucisku i odosobnienia napisał... „Polonię“. Tego zapomnieć nie godzi się nigdy!

Ze ś. p. Wyspiańskim wiele się, wiele na te tematy ongiś przegwarzyło, przegrywając mu w międzyczasie godzinami ulubione przeżeń, choć tam i dyletancko interpretowane „warjacje“ Wagnerowskie. I zabity przez bolszewików poeta Miciński też całymi latami w Wagnerze się kochał. A tytuł: „Monsalwant“ nosiła ówczesnej generacji (pióra Ar. Górskiego) koncepcja i eloga o Mickiewiczu...

Dziwnemi skojarzeniami myślowymi przypomina się ta „zagrzebana świątynia“, te odległe światy Wagnerowskie właśnie teraz. Naród niemiecki przechodzi przez fazę głębokiego, wstrząsającego przeobrażenia. Daje światu pierwszy przykład wyzwolenia się z pod hegemonji antychrystowskiego, satanicznego *taedium generis humani* (Tacyt) Ze średniowiecznego kastelu na wysokiej górze wychodzą szeregami rycerze, w stal twardą zakuci, na zabicie poczwarnego legendarnego smoka, oplatającego szesnastoma miljonami krwiopijnych macek całą ludzkość. Rycerze są okrutni, brutalni i straszliwi, tak jak straszliwym, brutalnym i okrutnym jest i ten smok jako całość etniczna, jako *collectivum*. A walkę nieubłaganą, definitywną z apokaliptycznym smokiem przewidział i przepowiedział właśnie nikt inny, tylko ten, co napisał... „Parsifala“ i... „Polonję“.

Już w roku 1850 rzucił rękawicę żydostwu, wówczas potężniejącemu w broszurze: *„Das Judentum in der Musik“*; idee bojowe, w niej wypowiedziane, rozszerzył potem w dwóch pracach w *„Erkenne dich selbst“* i w *„Ausführungen zur Religion und Kunst“*. Odtąd poszedł na czarną listę pansemickiej mafji, zdobycie i ujarzmienie globu planującej. Jest jednym z pierwszych, którego zaprzysięgli usuwać, przemilczać, unieszkodliwić, dobić. Jest dla międzynarodowego żydostwa wcieleniem i szczytem aryjskiej twórczości, aktywnie wrogiej światowemu spiskowi „elementów dekompozycji“, drożdży rozkładu, bakteryj gnicia, judokoków.

To też w przewidywaniu nadchodzących sądów Bożych i sądnych dni kwietniowych, w przededniu wybuchu t. zw. „rewolucji narodowej“, a raczej rasowej... lekkomyślnie zaryzykowały bezecne żydy szereg wystąpień przeciw Wagnerowi. Ohydny pamflet wypluł z siebie jakiś brudny płaz Levy. Całą akcję podziemną, intrygancką przeprowadził krytyk muzyczny, *„Berliner Tageblatt“*, zdemaskowanej, nikczemnej szmaty familji Mosse, potentat krytyki Alfred Einstein. A kiedy ten mały Einstein nie wystarczył, wystąpił sam Albert, wydęty humbóg Karakohnów berlińskich, jeden z największych, historycznych rekordów w szwindlu reklamiarskim. I ta ordynarna, brukowa wielkość dla *„yellow press“* całego globu dała wywiad o Wagnerze. Grywa sobie „astronom latający“ na skrzypcach, więc ma prawo zabierać głos, więc i mówił: „Czemże jest Bayreuth dzisiaj, to historyczne sanktuarjum i miejsce pielgrzymek do ośrodka religji, która przestała być żywą“ *(sic)*. „Młodzież dzisiejsza nie chce już słyszeć o Wagnerze“ *(sic)* „Jest dla niej synonimem fałszu, patosu, lichego teatru, jednem słowem tego, co Wagner właśnie sam chciał przezwyciężyć“... Tak o twórcy Parsifala! (i Polonji) ośmielił się bezkarnie wycharczeć ten histeryczny kabotyn przez 90% uczonych w swej specjalności uznany za bluffiarza, kłamcę i najpospolitszego, rozwrzeszczanego dyletanta. Za życia Wagnera pluł na niego, wiedeński uczony „muzykolog“, parszywiec Hanslick, cudnie uwieczniony potem jako Beckmesser w *„Meistersinger'ach“*. A wówczas przeciwstawiało żydostwo genjuszowi Wagnera kogo? Jakóba Liebmana Beera, kataryniarza włoskiego, znanego pod firmą Meyerbeer, autora harmonikowych „Hugenotów“! ...„Giacoma“... A gdy Europejczycy, elita intelektualna Francji i Anglji pielgrzymowała do Bevreuth, żydostwo hurmami i stadami zapełniało sale operowe na Halevyego: „Żydówce“ i wyło w niebogłosy, kiedy Rachela szła na sztos, a kardynała obrzucano inwektywami... Mówił Einstein: Młodzież dzisiejsza nie chce już słyszeć o Wagnerze!

Jaka młodzież? Szajgece, subjekty, komiwojażery, szybery, pasery, pederasty, alfonsy z Aleksander-Platzu w Berlinie? A jaki teatr teraz przeciwstawia się lichemu teatrowi Wagnera i jego „fałszowi“ i „patosowi“?

Czy operę jazzbandową futurysty żyda Krenecka: *„Jonny spielt auf“*, apoteozę złodzieja kieszonkowego (wygwizdaną nawet w Nowym Yorku!)? Czy apoteozę Rotszyldów (*„Die Fünf Frankfurter“*)? Czy żyda Brücknera „Złoczyńców“ lub *„Krankheiten der Jugend“*? (o chorobach wenerycznych)? Czy żydów Rehfisza i Herzoga „Dreyfussa“? czy samego Rehfischa *„Frauenarzt“* (za spędzaniem płodu i przeciw par. 218), czy żyda Riszarda Duschinskyego *„Stempelbrüder“* (apoteoza kazirodztwa), czy żyda Georga Kaisera: *„Judische Witwe“*, obronę właścicielki burdelu, czy też tegoż Kaisera ohydną świnoderję pt. *„Zwei Kravatten“*? Czy żyda Hermana Ungara rynsztokowo pornograficzną *„Gartenlaube“* czy też żyda Ferdinanda Wolfensteina „sztukę“ o maciorze zamtuzowej, chwalącej się że przehandlowała 5000 dziewczyn nietkniętych? Czy żyda P. Lampela *„Revolte im Erziehungsheim“*, obronę homoseksualizmu, pederastji, czy też żyda Alfreda Herzoga: *„Krach um Leutenant Blumenthal“* obronę oficera sadysty i defraudanta? Czy E. E. Kischa, znanego żydowskiego reportera bluźnierczy: *„Himmelfahrt des Galgentoni“* czy żyda Waltera Mehringa apoteozę szybera i pasera Kaftana (*„Kaufman von Berlin“*)? Czy dziejącą się w kryminale sztukę żyda Lichteneckera: *„ Eros in Zuchthaus“* czy słynnego żyda Liona Feuchtwangera też dziejącą się w kryminale opowieść o kobiecie, kochającej się w zbrodniarzu (*„Wird Hill amnestiert“*)

Dodajmy do tego znane nam „Cyankali“ żyda dr. Fr. Wolffa i żyda Arnolda Zweiga: „Spór o sierżanta Griszę“ i postawmy obok jeszcze kilka noc...ków, jakie przed publicznością wystawiały te dwie zlikwidowane kanalje *Gebrüder* Rotter, a będziemy mieli pojęcie o repertuarze scen niemieckich z ostatnich lat pięciu, o tym wulkanie brudu i kału moralnego, jakie to zdeprawowane do szpiku kości, sataniczne szelmostwo wyżygiwało na sceny, na których dawniej królowali Goethe, Schiller, Lessing, Kleist, Hebbel, Grabbe, Grilparzer, Hauptmann... no, nawet Wildenbruch, Sudermann, Halbe, Hoffmansthal... no, nawet semita Schnitzler..

Taki to gnój, takie mózgowe fekalja i ekskrementy, taką zarazę roznoszącą padlinę zwalała na sceny niemieckie w erze Piscatora, Jessnera, Kerra, Heinego ta zorganizowana *moral in Semity*, ta granda obleśnych, perweśnych, plugawych, śmierdzących, z zamturowego Ghetta wypełzłych mniej lub więcej utalentowanych psychopatów, psychopadalców.

Taki to repertuar — pissoir panował w ostatnich trzech latach przed 50 letnią rocznicą zgonu Ryszarda Wagnera, któremu *taedium generis humani*, przez swą najpryncypalniejszą figurę Einsteina, zarzuciło: fałsz, patos i „lichy teatr“. Czy nie w porę samą przyszedł tedy „Sądny Dzień“ na tę z czeluści wyrojoną w środek Europy progeniturę Antychrysta?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Bardzo zaniepokoiło Niemców stanowisko publicystów polskich, urągających partjom niemieckim, że się pogodziły z rządami Hitlera. Ich zdaniem rewolucja taka jest nieprawidłowa, sprzeczna z przyjętemi zwyczajami i właściwie nie powinna się nazywać rewolucją. Ciekawa rzecz, jak Niemcy z tego zaniedbania metody się usprawiedliwią.

*

Organizacja międzynarodowa wolnomyślicieli, po długich przygotowaniach postanowiła wystąpić jawnie z programem sanacji obyczajów. Na czele zakładanej Ligi staje Boy z krakowskiego Zielonego Balonika, oddawna na firmanta goja forsowną reklamą preparowany.

Ten Blok Bezbożników współpracy z żydami do głównych swoich zadań zalicza: „uświadamianie seksualne“, „ochronę od chorób wenerycznych“ i wolność prostytucji. Wszystko ku wygodzie klijentów. To też Boy w manifeście ogłasza: „gwarantujemy naszym adherentom — na żądanie — najściślejszą dyskrecję“ („Wiadom. Lit.“, Nr. 16).

Owszem akcja taka, sprytnie prowadzona, może stworzyć nową konjukturę w branży dotąd ryzykownej i uważanej za hańbiącą. A Boyowi tak się składa, że nie wychodzi z branży wyrobów gumowych: w młodości baloniki, na starość „ochrony od choroby“...

*

— Nie mamy się czego wstydzić — wołał sanator na wiecu — Program nasz jest szczerze polski od A do Z...

A ktoś z sali przerywa:

— W alfabecie mamy jeszcze Ż!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.